

Z uszanowaniem od Autora:
refleksje nad Austinem i Derridą¹

*Najważniejszą sprawą w aktorstwie jest szczerłość;
gdy tylko nauczysz się ją udawać, wyjdiesz na swoje.*
Sam Goldwyn

I

Latem 1977 roku, kiedy przygotowywałem się do uczenia na temat *O grammatologii* Jacquesa Derridy na zajęciach w School of Criticism and Theory w Irvine, z tekstu wyleciała kartka wprost prosząc się o interpretację. Pisało na niej:

Z USZANOWANIEM OD AUTORA

Natychmiast stanąłem w obliczu problemu interpretacyjnego, nie tylko w zwykłym, codziennym sensie potrzeby określenia znaczenia i intencji (są tym samym) wypowiedzi, ale w szczególnym sensie (choć tak mogło się tylko wydawać)

1. Niniejszy tekst jest ostrożnie zakreśloną i ograniczoną próbą wytłumaczenia anglo-amerykańskim odbiorcom argumentów Derridy z *Signature Event Context* („Glyph”, I/1977, s. 172–97) jako odnoszących się do projektu rozpoczętego przez Johna L. Austina w *How to Do Things with Words* (Oxford University Press, Oxford, 1962). Jest to także próba, jak pewnie niektórzy z moich czytelników rozpoznają, zasymilowania Derridy przedstawianego w tym eseju i esejach z nim powiązanych przez teorię „wspólnot interpretacyjnych” wyłożoną w mojej książce *Is There a Text in This Class? The Authority of Interpretive Communities* (Harvard University Press, Cambridge, 1980). Usiłowanie takie może wydawać się po prostu jeszcze jednym sprowadzeniem Derridiańskiej myśli na grunt amerykański, lecz jest ono pomyślane jako przeciwwaga dla innych, bardziej swojskich prób kojarzących się z takimi słowami jak „nieodcydwalność” czy „przepaść” (*abyss*). Niewielki obszar mojego zainteresowania wyklucza rozważanie pracy Derridy pod tytułem *Limited Inc.* czy eseju Johna Searle’a, na który *Limited Inc.* jest odpowiedzią. Wyklucza także rozważanie innych perspektyw – psychoanalizy, feminizmu, socjolingwistyki – które wprowadzono do dyskusji próbując rozwiązać kwestie postawione w debacie Searle’a z Derridą. Odsyłam czytelnika do pomocnych i pouczających analiz Gayatri Spivak (*Revolutions That as Yet Have No Model*, „Diacritics” 8, zima 1980, s. 29–49), Mary Pratt (*The Ideology of Speech-Act Theory*, „Centrum”, n.s. 1, nr 1 wiosna 1981, s. 5–18), Samuela Webera (*It*, „Glyph” 4 [1978], s. 1–31) i Barbary Johnson (*Mallarmé and Austin*, w: *The Critical Difference*, Johns Hopkins University Press, Baltimore 1980, s. 52–66). Jestem wdzięczny Kennethowi Abrahamowi, Michaelowi Friedowi i Walterowi Bennowi Michaelsowi, którzy wraz ze mną pracowali nad tymi tekstami w serii zajęć prowadzonych przez grupę (*team-taught courses*), i którzy przyczynili się do ostatecznego rezultatu w sposób, który będzie dla nich rozpoznawalny na pierwszy rzut oka. Chciałbym także wyrazić wdzięczność Stevenowi Knappowi, W. J. T. Mitchell i Robertowi Viscusi za krytyczne sugestie.

związanym z tym, że nie wiedziałem kim był wymieniony, lub raczej, niewymieniony na kartce autor. Mógł to być sam Derrida, którego spotkałem, ale jedynie przelotnie. Mogła to być tłumaczka Derridy, Gayatri Spivak, którą znałem od jakiegoś czasu, i która mogła mnie umieścić na liście wydawnictwa. Mogło to być również samo wydawnictwo, w tym przypadku Johns Hopkins University Press, którego rady redakcyjnej byłem członkiem. Pod nieobecność (kluczowe słowo) jakiegokolwiek wyraźnej identyfikacji uznałem samego siebie za symbol trudności czy nieszczęść jakie nawiedzają rozdzieloną odległością bądź osłabioną komunikację: byłem niezdolny do podjęcia decyzji, ponieważ słowa zostały odcięte od swego zakotwiczenia w jedynej i przejrzyście obecnej intencji. Oznacza to, jak mi się wydawało, że w momencie mojego zakłopotania na własnej skórze dowodziłem wyższości komunikacji twarzą w twarz, gdzie poznaje się intencje bezpośrednio, nad komunikacją zapośredniczoną przez znaki pisane, a w tym przypadku przez zapis, który zmaterializował się bez jakichkolwiek odnośników do kontekstu swego pochodzenia. Nie musiała być to akurat wiadomość znaleziona w butelce, lecz z pewnością była to wiadomość znaleziona w książce.

Filozofowie i krytycy literaccy od dawna dysponują sposobem mówienia o takich sytuacjach, przeciwstawiając je innym, w których kwestie znaczenia i intencji są mniej nieokreślone. Zasada leżąca u podłoża tego zabiegu często była formułowana, ale nigdzie tak zwięźle, jak w oświadczeniu Jonathana Cullera: „Niektóre teksty są bardziej osierocone niż inne”². Przyjąwszy taką zasadę, całkiem rozsądne może wydawać się konstruowanie taksonomii kontekstów komunikacji, ułożoną w kolejności od najmniej do najbardziej osieroconych. Opracowanie takiej taksonomii nie jest tutaj moim celem, ale jej szkic mógłby podsunąć nam pewną perspektywę na niektóre kluczowe zagadnienia w filozofii i teorii literatury.

Rozpoczęlibyśmy, oczywiście, od optymalnego kontekstu, wymiany wypowiedzi twarzą w twarz [odbywającej się] pomiędzy ludźmi, którzy znają się nawzajem, i którzy mogą w przypadku pomyłki, przerwy czy niejasności, zadawać sobie nawzajem pytania. Mniej pewna, lecz nadal stosunkowo mało ryzykowna forma komunikacji pojawiłaby się między osobami, które się znają, ale są od siebie oddzielone czasem albo przestrzenią i tym sposobem ich komunikacja została zredukowana do medium listu, telegramu, czy telefonu; osoby takie będą słyszały i czytały się nawzajem w na tle historii wspólnych doświadczeń i wspólnych trosk; pod nieobecność fizycznej bliskości tło takie będzie pełniło rolę ograniczenia interpretacji. Innego rodzaju ograniczenia wchodzi w grę gdy komunikacja odbywa się między osobami, które nie znają się nawza-

2. Jonathan Culler, *Structuralist Poetics: Structuralism, Linguistics, and the Study of Literature*, Cornell University Press, Ithaca 1975. s. 133.

jem, ale które wypowiadają się z wnętrza kontekstu, który stabilizuje kierunek i kształt ich rozumienia: sprzedawcy i klienci w sklepie, nauczyciele i uczniowie w pierwszy dzień szkoły, kelnerzy i goście w restauracji i tak dalej. Poważne trudności pojawiają się wtedy, kiedy nieobecny jest ten rodzaj stabilizującego kontekstu. Zbieżność spraw, które nas zaprzatają jest wtedy raczej kwestią szczęścia niż prawdopodobieństwa, ponieważ jedna strona mówi lub pisze dla zróżnicowanego odbiorcy, mając nadzieję na to, że bystry słuchacz bądź czytelnik uchwyci to, o co chodzi; komentatorzy telewizyjni, ludzie zajmujący się reklamą pocztową i dziennikarze prasowi znajdują się w takiej sytuacji, ciągle zagrożeni tym, że będą źle zrozumiani z powodu błędnego oszacowania [okoliczności], szczególnego słownictwa i zaskakujących reakcji odbiorców. Gdy posuwamy się na naszej skali jeszcze dalej, sprawy się coraz bardziej komplikują ponieważ do trudności spowodowanych fizycznym dystansem dochodzą niewspółmierności wynikające z dystansu czasowego i odmienności kulturowej. Ostatecznie, na najdalszym etapie tego odchodzenia od pewnych i przezroczystych spotkań werbalnych docieramy do literatury, a zwłaszcza do fikcji; tutaj niepewności interpretacyjne wydają się czyhać wszędzie wtedy, gdy usiłujemy ustalić znaczenia i intencje pochodzące od dawno nieżyjących autorów, których słowa mają odniesienie nie do świata, który zniknął z powierzchni ziemi, ale do świata, który nigdy nie istniał poza ich wyobraźnią. W innych przypadkach interpretacyjne wysiłki czytelników i słuchaczy są związane – nawet jeśli tylko w jakiś osłabiony sposób – z możliwymi do wyszczególnienia warunkami empirycznymi; w przypadku fikcji i dramatu warunki owe są konstruktem autora i muszą być odtworzone przez czytelników i słuchaczy bez pomocy bytów pozamyślowych.

Obraz, który właśnie nakreśliłem jest zdroworoządkowy i perswazyjny; coś w tym rodzaju leży u podłoża przekonań wielu z naszych najbardziej wpływowych teoretyków. Culler zakłada go, kiedy powiada, że słowa w wierszu „nie odnoszą nas do jakiegoś zewnętrznego kontekstu, ale zmuszają do stworzenia fikcyjnej sytuacji wypowiedzi”, ponieważ wiersze z definicji usunięte są „ze zwyczajnego obiegu komunikacyjnego”³. Takie samo rozumowanie doprowadza Johna Ellisa do oznajmienia, że gdy tylko coś zostaje zidentyfikowane jako literatura „to generalnie już nie zaprzatamy sobie głowy tym, czy to co mówi jest prawdziwe, czy fałszywe, ani nie traktujemy tego jako czegoś ważnego dla jakiegokolwiek konkretnego praktycznego celu”, ponieważ nie jest to postrzegane „jako część bezpośredniego kontekstu, w jakim żyjemy”⁴. Barbara Herrnstein Smith stwierdza w tym samym tonie: „Wiersz nie odzwierciedla, ale *tworzy* kontekst, w którym

3. Jonathan Culler, *Structuralist Poetics...*, s. 166.

4. John M. Ellis, *The Theory of Literary Criticism: A Logical Analysis*, University of California Press, Berkeley i Los Angeles 1974, s. 43.

jego znaczenia są umieszczone”; podobnie jak list, wiersz „będzie czytany w jakimś kontekście zarówno czasowo, jak i przestrzennie odległym od tego, w jakim został ułożony”, lecz granice, w jakich muszą działać poeci i ich czytelnicy są nawet surowiej wytyczone, ponieważ poeta „musi przekazać swoim odbiorcom nie tylko kontekst odległy w przestrzeni i czasie, ale wręcz taki, który mógł nigdy nie zaistnieć w historii czy przyrodzie”⁵. Wolfgang Iser jest nawet jeszcze bardziej jednoznaczny i kategoryczny: „Teksty fikcjonalne konstytuują swoje własne przedmioty i nie kopiują czegoś już istniejącego”; „codzienny język pragmatyczny [...] z góry zakłada odniesienie do danego przedmiotu”, a zatem „wielkość możliwych znaczeń [jest] ograniczona”; z drugiej strony język fikcjonalny „otwiera wzrastającą ilość możliwości”, co pociąga za sobą decyzje i akty tworzenia po stronie czytelnika⁶. Dla Isera owa wzrastająca aktywność czytelnika jest charakterystyczna dla odbioru literatury jako przeciwstawionego, na przykład, odbiorowi tekstu naukowego, gdzie akty tworzenia nie są wymagane, gdyż przedmiot – czyli świat – już jest dany. To samo spostrzeżenie zostało poczynione nieco bardziej elegancko przez Richarda Ohmanna: w zwyczajnym dyskursie, podkreśla Ohmann, „zakładamy świat realny i osądzamy trafność aktów mowy”; lecz w dyskursie fikcyjnym „zakładamy trafność aktów mowy i powołujemy do życia świat”⁷. Mechanizm tego, jak to czynimy został wyjaśniony przez Johna Searle’a. Dyskurs fikcjonalny jest umożliwiony, według Searle’a, przez „zbiór konwencji, które zawieszają normalne działanie reguł odnoszących akty illokucyjne do świata”⁸. W miejsce owego normalnego działania, w którym język jest przywiązany do już istniejącego odniesienia, piszący fikcję, wyjaśnia Searle, *udaje* odnoszenie się do rzeczywistych postaci i zdarzeń, a przez to udawanie stwarza fikcyjne postaci i zdarzenia⁹; jako czytelnicy zgadzamy się na to udawanie, bierzemy w nim udział, a w ten sposób zarazem bierzemy udział w konstrukcji fikcyjnego świata i jego znaczeń¹⁰.

Wydawać się może, iż podczas tego krótkiego namysłu, nasze zainteresowanie przeniosło się od kwestii oddalanej czy osieroconej mowy do kwestii fikcyjnego języka, ale jak namysł ten pokazuje, te dwie kwestie stanowią

5. Barbara Herrnstein Smith, *On the Margins of Discourse: The Relation of Literature to Language*, University of Chicago Press, Chicago 1978, s. 35–36.

6. Wolfgang Iser, *The Act of Reading. A Theory of Aesthetic Response*, Johns Hopkins University Press, Baltimore 1978, s. 24, 184.

7. Richard Ohmann, *Speech Acts and the Response to Literature* (referat wygłoszony w grudniu 1976 na spotkaniu Modern Language Association).

8. John Searle, *The Logical Status of Fictional Discourse*, w: *Expression and Meaning. Studies in the Theory of Speech Acts*, Cambridge University Press, Cambridge 1979, s. 67.

9. John Searle, *The Logical Status...*, s. 71–72.

10. John Searle, *The Logical Status...*, s. 73.

jedność. Zarówno mowa osierocona, jak i mowa fikcjonalna są uznawane przez tych i innych teoretyków za odchylenia (*deviations*) od pełnej obecności i normatywnej kontekstualności komunikacji twarzą w twarz i w obu przypadkach konsekwencje są takie same: przyrost wysiłku interpretacyjnego wymagany od czytelników i słuchaczy (wedle *implicite* przyjmowanej zasady: im większy dystans, tym więcej pracy), który oznacza, z kolei, wzrost ryzyka i niepewności związanych z każdym wysiłkiem [zmierzającym] do ustalenia określonych znaczeń. W rzeczy samej, niezwykle jest jak wiele zagadnień w filozofii i teorii krytycznej sprowadza się ostatecznie do podstawowego zagadnienia związanego z uprzywilejowaniem bezpośredniej czy zakotwiczonej mowy. Istnieje dowolna ilość par pojęć, które można uszeregować wedle schematu: mowa osierocona vs mowa pełna i język zwykły vs język fikcjonalny – tak, iż utworzą wewnątrz siebie powiązany zbiór wzajemnie zależnych opozycji. Tych kilku teoretyków, których dotąd przytoczyłem dostarcza następującą listę przykładów, która pod żadnym pozorem nie jest wyczerpująca:

język dosłowny	język metaforyczny
określone	nieokreślone
nagie fakty	fakty instytucjonalne
dyskurs obiektywny	dyskurs subiektywny
realni ludzie	fikcyjne postacie
bezpośrednie akty mowy	pośrednie akty mowy
realne przedmioty	przedmioty fikcyjne
język naukowy	język ekspresyjny
performatywy wyraźne	performatywy ukryte
lokucyjny	illokucyjny
znaczenie (<i>meaning</i>)	sens (<i>significance</i>)
percepcja	interpretacja
realne doświadczenie	doświadczenie estetyczne
konstatacja	performatyw

Opozycje te są swoimi wzajemnymi przekształceniami na mocy epistemologicznej przesłanki leżącej u podstaw każdej z nich, [która mówi], że pierwsze, stojące po lewej stronie pojęcie oznacza tryb wiedzy (*knowing*), która jest – nawet jeśli nie w sposób czysty, to przynajmniej relatywnie – bezpośrednia, przezroczysta, pozbawiona trudności, niezapośredniczona, niezależnie weryfikowalna, bezproblematyczna, przedinterpretacyjna i pewna; i odwrotnie, tryb poznania określony przez pojęcia po prawej stronie odnosi się do wiedzy pośredniej, zamazanej, zależnej od kontekstu, nieograniczonej, wtórnej i pełnej ryzyka. Jednym

z powodów takiego niezwykłego powodzenia tego rozróżnienia w różnych jego formach jest wsparcie, jakie wydaje się uzyskiwać, przez świadectwa zdrowego rozsądku. Tutaj oto, możemy powiedzieć (naśladując doktora Johnsona), leży kamień; jest on znacznie lepiej nam dostępny do badania i opisywania niż jakiś kawałek skały we Francji, czy w powieści Dickensa. Albo – ewentualnie – tutaj oto jestem ja, stoję przed tobą, znasz mnie i wiesz co mam na myśli, kiedy coś mówię, a jeśli nie, możesz mnie po prostu zapytać, czego nie mógłbyś zrobić gdybym był martwy, albo w Chinach, albo żywy lecz jedynie na kartach jakiejś epopei. Powodzenie to, krótko mówiąc, polega na doświadczeniu *bezpośredniości* w przeciwieństwie do doświadczenia przedmiotów i osób możliwego jedynie na odległość – jest to przeciwieństwo, które zdawała się potwierdzać anegdota, od której rozpocząłem. Przypuszczalnie, gdybym w 1977 roku był w posiadaniu dokładniejszej informacji i gdybym mógł spotkać ofiarodawcę twarzą w twarz, to niepewność i niedookreśloność, która charakteryzowała moje wysiłki zinterpretowania Z USZANOWANIEM OD AUTORA, zmniejszyłaby się, a może nawet całkowicie zniknęła¹¹.

Pozwólmy sobie, dla potrzeb dyskusji, przetestować to domniemanie wyobrażając sobie szczęśliwe okoliczności, w których ten konkretny akt mowy mógłby być bardziej pewny powodzenia. Załóżmy najpierw, że byłem w stanie ustalić, że prezent, a tym sposobem także i kartka go obwieszczająca została mi przysłana przez Derridę. Czy moja sytuacja co do interpretacyjnej pewności poprawiłaby się? Cóż, w pewnym sensie, odpowiedź brzmi „oczywiście”, nie próbowałbym już interpretować wiadomości jako otrzymanej od Spivak bądź z Johns Hopkins University Press, lecz wciąż pozostawałby mi problem zinterpretowania wiadomości od Derridy, a fakt, że znałem wtedy jego nazwisko nie mógłby być sam w sobie, ani z siebie decydujący, ponieważ ja *chciałbym* znać jego intencje, cele i powody jakimi się kierował. Znaczy to, iż chciałbym wiedzieć, w jakim *duchu* Derrida przesłał mi tę książkę. Mogło zdarzyć się tak, iż moje nazwisko było tylko jedną pozycją z bardzo długiej listy przedłożonej przez redaktora bądź wydawcę, i że w odpowiedzi na jego sugestię Derrida odrzekł „Stanley... jak mu tam?”. Moje zakłopotanie wcale nie musiało by zniknąć również wtedy, gdyby wiadomość została dostarczona osobiście, gdyby Derrida wkroczył do mojego biura i powiedział: „Aha, oto i Stanley Fish, proszę przyjąć to ode mnie

11. Argument, że im więcej posiada się informacji o kontekście, tym pewniejsza będzie interpretacja wypowiedzi pojawiających się w tym kontekście jest paralelna wobec argumentu mówiącego, że im więcej słów w wypowiedzi (im bardziej otwarcie zostanie przedstawiona), tym mniejsza jest szansa, że zostanie ona mylnie zinterpretowana lub zinterpretowana na wiele sposobów. Oba argumenty przemawiają na rzecz stanu nasycenia (zarówno rzeczy, jak i słów) tak całkowitego, że interpretacja nie jest w stanie znaleźć dla siebie nawet szczeliny. Kontrargumentację przedstawiam w swoim tekście *Is There a Text in This Class?*, s. 282–3, 311.

z pozdrowieniami od autora”. Wciąż mógłbym podejrzewać, iż był on raczej ironiczny niż pełen szacunku, i że tak naprawdę powiedział „Z pozdrowieniami od autora” (*With the compliments of the author*), w którym to przypadku sprawa byłaby na tyle otwarta, by móc usłyszeć jego wypowiedź jako stwierdzenie zarówno pierwszeństwa, jak i wyższości.

Oczywiście, w przypadku takich podejrzeń, mógłbym się po prostu zapytać. To znaczy, mógłbym zadać Derridzie dowolną ilość bezpośrednich i przenikliwych pytań w stylu „Co pan miał przez to na myśli?”, albo „Jak mam to rozumieć?”, albo „Czy oczekuje pan czegoś w zamian?”. Całkiem możliwe, że ukontentowałyby mnie odpowiedź na jedno lub więcej z tych pytań, może dlatego, że zawierałaby jakieś sformułowanie będące dla mnie szczególnie silną oznaką szczerości, a może dlatego, że towarzyszyłaby jej wiedza na temat przeszłych zachowań Derridy, która wydawałaby mi się silnym świadectwem jego dobrej woli. Jednakże, jest także możliwe, że moje wątpliwości w ogóle by się nie rozwiały, ponieważ zostały silnie zakorzenione w pewnej zawodowej niepewności – niepewności, która zamiast rozplywać się pod wpływem werbalnych (lub innych) zapewnień traktowałaby je po prostu jako kolejną okazję do wątpliwości. Rzecz nie w tym, iż nigdy nie będę miał pewności co do znaczenia słów Z USZANOWANIEM OD AUTORA, ale w tym, że ani uzyskanie pewności, ani porażka w próbach jej osiągnięcia nie mają koniecznego związku z faktem fizycznej bliskości. Świadectwo, które przekonałoby mnie o dobrej woli Derridy mogłoby mieć ten sam rezultat nawet gdyby przekazano by mi je listownie lub przez osoby trzecie, ponieważ jego status jako świadectwa nie zależy tylko, czy nawet głównie, od mojej zdolności przyjrzenia się mu z bliska, lecz jedynie od wykształcenia przeze mnie przekonania na temat [istnienia] relacji pomiędzy pewnymi działaniami i formułami a obecnością dobrej woli. I odwrotnie, fizyczna bliskość takiego świadectwa, w postaci słów czy gestów Derridy, wciąż mogłaby nie przekonywać, gdyby moja zawodowa obawa (która także jest jakimś przekonaniem, zdolnym równie dobrze działać „na odległość” jak i „w zbliżeniu”) była na tyle wystarczająco silna, aby je uchylić.

Fakt kontaktu twarzą w twarz, w takim razie, nie gwarantuje tego, że komunikacja będzie pewna czy nawet stosunkowo bezproblematyczna. Zostało to sympatycznie przedstawione na rysunku, który pojawił się kilka lat temu w „New Yorkerze”. Widnieje na nim mężczyzna siedzący przed telewizorem zapatrzony w ekran; nad nim stoi kobieta, przypuszczalnie jego żona, która najwyraźniej jest rozczłuszczona. Podpis głosi: „Wyglądasz, jakby ci było przykro, zachowujesz się jakby ci było przykro, mówisz, że jest ci przykro, ale wcale nie jest ci przykro”. Rzekoma przewaga komunikacji twarzą w twarz wynika z tego, że komunikacja ta pozwala wnioskować znaczenie wypowiedzi przez bezpośrednie śledzenie słów i zachowania mówiącego; ale rysunek ów wydaje

się nam przypominać, że kierunek wnioskowania także przebiega często w drugą stronę – kobieta z góry wie, jaki będzie sens tego, co mówi jej mąż, bo wie, i wie to z całą mocą przekonania, jakim jest on człowiekiem, a w takim razie jest ona w stanie usłyszeć dowolne jego słowa jako potwierdzenie tego, co już wie. On mógłby przedkładać pisemne oświadczenia złożone pod przysięgą, mógłby zabezpieczać się zaświadczeniami od księdza, lekarza czy swojej matki, a ona wciąż mogłaby interpretować jego słowa i wszystkie potwierdzające je dokumenty jako świadectwa jego nieszczerości¹².

Zestawienie tego rysunku z moją anegdotą jest pouczające częściowo dlatego, że z początku zdają się ilustrować zupełnie inne sytuacje – szczególnie osłabionego aktu mowy, z jednej strony i aktu mowy ściśle związanego ze swoim kontekstem, z drugiej. Ale ostatecznie te dwie sytuacje są bardzo podobne, ponieważ w obu przypadkach kluczową rolę w usiłowaniu ustalenia znaczenia odgrywają założenia i przekonania. W jednym przypadku uparcie utrzymywane założenie żony na temat tego, jakiego rodzaju człowiekiem jest jej mąż wytwarza jedną niezachwianą interpretację jego słów; w drugim przypadku, moja niezdolność, by wierzyć całkowicie w szczerść Derridy powoduje moje zwątpienie w poprawność interpretacji jego słów. W obu przypadkach kształt przekonań (zarówno na swój, jak i na cudzy temat) odpowiada za kształt interpretacji, bez względu na to, czy owe przekonania działają na odległość, czy przy bezpośrednim spotkaniu. Moje „odczytanie” intencji Derridy niekoniecznie zostałoby ustabilizowane przez jego obecność; podobnie gdyby mąż miał zostawić swojej żonie wiadomość mówiącą, że jest mu przykro, to odbiór tej wiadomości byłby równie pewny jak odbiór słów przez niego wypowiedzanych. Znaczy to tyle, że różnica pomiędzy tymi dwoma przypadkami (bo różnice pozostają) nie może zostać wyjaśniona jako różnica pomiędzy komunikacją bezpośrednią (*direct*) i zapośredniczoną (*mediated*); w rzeczy samej, jeśli mamy uogólniać te przykłady,

12. Oczywiście jest to możliwe, żeby ona zmieniła swoje zdanie, ale jedynie wtedy, gdyby jemu udało się zmienić jej obecne przekonanie co do jego charakteru. Mogłoby to się zdarzyć, na przykład, gdyby on zrobił coś, czego zrobienie często obiecywał i nie dotrzymywał obietnicy lub powiedział coś („kocham cię”), czego nie chciał powiedzieć wcześniej. Fakt, że ona mogłaby zostać przekonana przez takie czy inne zachowanie nie oznacza wcale, iż jej przekonanie zmieniłoby się pod wpływem bezpośredniego zaznajomienia się z niezapośredniczonym świadectwem; ponieważ takie zachowanie uzyska status świadectwa jedynie w kontekście konkretnej formy, jaką przyjmują jej przekonania (będzie to świadectwo specyficzne dla danych przekonań). Jeśli, dla przykładu, jej przekonanie na temat jego charakteru przyjmuje formę myślenia sobie przez nią „on nigdy nie zrobi tego, czy nie powie tamtego”, to pewne zachowania (zrobienie przez niego tego, czy powiedzenie tamtego) będą się liczyły jako możliwe powody zmiany zachowania, chociaż same te powody będą miały swoje źródło w przekonaniach. Ponadto, moc zachowania jako świadectwa może zostać odczuta, nawet jeśli zostanie ono jedynie jej opisane bądź przekazane w liście. Znowu, fakt fizycznej bliskości nie jest tu decydujący, ani nawet konieczny ważny.

to widać, iż nie istnieje epistemologiczna różnica pomiędzy komunikacją bezpośrednią i zapośredniczoną, ponieważ, w istocie rzeczy, każda komunikacja jest zapośredniczona. Oznacza to, że komunikacja każdego rodzaju charakteryzowana jest przez dokładnie te same warunki – konieczność zabiegów interpretacyjnych, nieuniknioność *jakiejś* perspektywy oraz konstruowanie przez akty interpretacji tego, co rzekomo ugruntowuje interpretację, intencje, charaktery i kawałki świata.

Wydaje się, iż zamiast potwierdzać „prawo Cullera”, nasza analiza zaprowadziła nas do jego przeciwieństwa, do wniosku, że wszystkie teksty są radykalnie i w tej samej mierze osierocone w tym sensie, że żaden nie jest bezpiecznie przywiązany do jakiegoś niezależnie określalnego stanu rzeczy. Wraz z tym twierdzeniem dotarłem w końcu do Derridańskiej krytyki J. L. Austina, ponieważ kwestią, jaka pojawia się między nimi (lub przynajmniej tak się wydaje) jest możliwość zidentyfikowania jakiegoś takiego rodzaju aktu mowy, który nie jest osierocony, to znaczy takiego, który jest „przykuty do [swego] źródła”¹³. W *Signature Event Context* Derrida kwestionuje tę możliwość, gdy dociera do „paradoksalnego, acz nieuniknionego wniosku – udany performatyw jest z konieczności »nieczystym« performatywem”¹⁴. Czysty performatyw miałby *zapewnione* powodzenie, ponieważ kombinacja słów, jednoznacznego kontekstu i przezroczystości intencji tak ograniczyłaby jego odbiór, że nie znalazłoby się już miejsce dla wątpliwości, a zatem nie byłoby potrzeby interpretacji. Argument Derridy głosi, iż optymalne warunki potrzebne dla takiego powodzenia nie istnieją, ponieważ ryzyko związane z tak zwanymi nieczystymi przypadkami – przypadkami, w których moc illokucyjna musi być wywnioskowywana raczej poprzez sieć założeń niż odczytywana bezpośrednio – należy do istoty *wszystkich* przypadków. Derridę uderzył fakt, że mimo, iż Austin zatrzymuje się na dłużej nad „doktryną przypadków niefortunnych (*infelicities*)”, czy „doktryną spraw, które mogą iść i idą źle”, to trzyma się ideału sytuacji mówienia (*speech situation*), w której wszystko ma się dobrze¹⁵. Oznacza to, iż Austin uświadamia

13. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 61. Istnieje polskie tłumaczenie tej pracy: John L. Austin, *Jak działać słowami*, w: *Mówienie i poznawanie*, przeł. Bohdan Chwedeńczuk, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1993, s. 545–713; decyduję się jednak na własne tłumaczenia cytatów z tej pracy, raz dlatego, że mam mieszane uczucia co do tłumaczenia Chwedeńczuka – w niektórych miejscach wydaje mi się ono zanadto kalkować konstrukcje angielskie, a co za tym idzie myśl Austina można po polsku oddać zgrabniej, po drugie dlatego, że cytaty te są na ogół bardzo krótkie, więc potraktowanie ich podczas przekładu jako fragmentów w tekście Fisha korzystnie wpłynie na spójność całości. Aby jednak nie stwarzać niepotrzebnych problemów czytelnikom, którzy znają Austina jedynie z prac dostępnych w języku polskim, staram się pozostawać wierny takiemu tłumaczeniu pojęć brytyjskiego filozofa, jakie zaproponował Bohdan Chwedeńczuk. (Przyp. tłumacza).

14. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 191.

15. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 14.

sobie wszechobecność niefortunności, lecz trwa przy myśleniu o niefortunności jako czymś równie „przypadkowym”, co jakieś niefortunne odchylenie od normy „wyczerpująco określającego kontekstu, wolnej świadomości obecnej przy całości operacji oraz [w przypadku] mowy całkowicie znaczącej”¹⁶. Z drugiej strony, Derrida uważa niefortunność nie za coś przypadkowego, ale za coś pierwszorzędnego i [należącego] do struktury. Przedstawia on swoje stanowisko stawiając serię pytań:

Czy ta ogólna możliwość koniecznej porażki czy pułapki, w którą język może *wpaść* czy zagubić się jak w otchłani, jest umieszczona na zewnątrz bądź naprzeciwko języka? [...] Innymi słowy, czy własność ryzyka przyznana przez Austina *otacza* język jak jakiś rodzaj *fosy* lub zewnętrznej przestrzeni unicestwienia, na której opuszczenie mowa nie może mieć nigdy nadziei, ale której może umknąć pozostając „w domu”? [...] Albo, przeciwnie, czy owo ryzyko jest raczej jej wewnętrznym i pozytywnym warunkiem możliwości? Czy to zewnątrz jest jej wnętrzem, samą siłą i prawem jej wyłaniania się?¹⁷

Przez „ogólną możliwość” Derrida ma na myśli możliwość, że język padnie raczej ofiarą interpretacji niż zostanie zakotwiczony w jakimś źródłowym i ograniczającym centrum; interpretacja, z wszystkimi jej zagrożeniami i niepewnościami, jest źródłem nieszczęścia; *jest* „ryzykiem”. Według tradycyjnego, czy klasycznego poglądu, ryzyko interpretacji pojawia się jedynie wtedy, gdy warunki komunikacji są określone przez dystans i osłabienie (*etiolation*); zwykła, bądź podstawowa komunikacja ma miejsce w przestrzeni dobrze zagwarantowanego bezpieczeństwa, gdzie znaczenia nie mogą zejść na manowce. Mając takie wyobrażenie, ma sens robienie tego, co czyni Austin w pierwszych rozdziałach swojej książki – najpierw wyodrębniając normatywne i jednoznaczne przypadki, a następnie sięgając do przypadków pochodnych i trudnych. Lecz, jak zauważa Derrida, takie postępowanie, jakkolwiek może się wydawać metodologicznie niewinne, za swoją racjonalnością i całą metafizyką skrywa metafizykę obecności przedmiotów i/lub intencji posiadających czystość, której w akcie komunikacji ani nie można zachować, ani stracić.

W pierwszej części tekstu *Signature Event Context*, Derrida podaje jako przykład takiej metafizyki stanowisko Condillaca wobec pochodzenia pisma: „Człowiek podczas komunikowania swych myśli poprzez dźwięki poczuł konieczność wymyślenia nowych znaków zdolnych do zachowywania tych myśli i umożliwiających *poznanie* ich osobom, które są *nieobecne*”¹⁸. Stanowisko to jest modelowe w tej tradycji, ponieważ zakłada, i poprzez zakładanie – ustanawia, wtórny status

16. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 188.

17. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 190.

18. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 176.

pisma, które stanowi tutaj środek przekazywania czegoś wcześniejszego wobec siebie, czegoś, co w chwili swego pojawienia się było bezpośrednie i przezroczy-
ste, czegoś kiedyś *obecnego*. Odpowiedzialność pisma, jako pośrednika, polega
na przekazywaniu tej obecności z możliwie najmniejszą liczbą zmian: „Ta sama
treść, wcześniej komunikowana przy użyciu gestów i dźwięków, będzie odtąd
przekazywana przez pismo”¹⁹. Tak pomyślane pismo jest zatem nie tyle przerwą
w obecności, ile jakąś modyfikacją obecności, modyfikacją konieczną z powodu
niefortunnego faktu [istnienia] dystansu (nieobecności), a jednak modyfikacją,
która zawsze pozostaje powiązana ze swym źródłem pochodzenia (*originating
source*), i która tym sposobem zawsze jest „w domu”. Sytuacja staje się niebez-
pieczna jedynie wtedy, gdy pismo traci kontakt ze swym źródłem i wtedy nie jest
już podległe – tak jak powinno – solidniejszej rzeczywistości, rzeczywistości
przedmiotów i intencji.

Zakwestionowanie przez Derridę tego wygodnego obrazu zaczyna się od po-
zornie trywialnej obserwacji: „Aby być tym, czym jest, całe pismo [...] musi
być w stanie funkcjonować wobec zdecydowanej nieobecności jakiegokolwiek
empirycznie określonego odbiorcy”²⁰. Równa się to powiedzeniu, iż pismo jest
czymś takim, że nawet ktoś, kto nie ma żadnego związku – obojętnie czy to z pier-
wotnym odbiorcą, czy nadawcą – będzie zdolny zinterpretować je i coś z niego
zrozumieć. Gdyby tak nie było, gdyby tekst pisany lub wypowiedź mogły jedynie
funkcjonować w oryginalnym kontekście ich wytworzenia, to nie stanowiłyby
reprezentacji tego kontekstu, ale jego część; byłyby częścią obecności (*a piece
of presence*). „Pismo, które nie byłoby strukturalnie czytelne – powtarzalne
(*iterable*) – po śmierci adresata, nie byłoby pismem”²¹. Przy takim określeniu,
pismo i język w ogóle stają się zbyt potężne, by zostały zasymilowane przez
klasyczny pogląd, w którym pismo „zastępuje” nieobecną obecność, której jest
zaledwie reprezentantem, ponieważ skoro pismo jest odczytywalne nawet dla tych,
którzy nic nie wiedzą o jego oryginalnym źródle, czy zamierzonym odbiorcy,
to uskutecznia ono swoje „zastępstwo” bez zakotwiczonej obecności, nawet
odległej, tego, co ma zastępować. Jak przedstawia to Derrida, „Znak może obejść
się bez odniesienia”²²; znaczy to, że znak może być odbierany jako odnoszący się
(*referring*) do osób, przedmiotów lub intencji, do których czytający nie posiadają
niezależnego, bądź pozajęzykowego dostępu ani osobiście, ani przez użycie pamięci.

Przedstawianie rzeczy w ten sposób powoduje jednak nieporozumienie po-
przez sugerowanie, że tego rodzaju odbiór jest konieczny jedynie w przypadku

19. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 176.

20. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 180.

21. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 180.

22. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 183.

empirycznej nieobecności, czyli, kiedy „faktycznie” zamierzonego odbiorcy lub przedmiotu odniesienia nie ma. Takie nieporozumienie jest prowokowane także wtedy, gdy Derrida zauważa na temat znaków, które wytwarza, że ich funkcjonowanie nie zostanie utrudnione przez „moją przyszłą nieobecność”. W taki sposób dopuszczone jest odczytanie, wedle którego jeden raz, w oryginalnym kontekście swego wytworzenia, znak był ustabilizowany przez jego [kontekstu] „obecność”, ale to odczytanie, które zostało umyślnie podsunięte, jest natychmiast zablokowane przez uściślenie:

Kiedy mówię „moja przyszła nieobecność”, to robię to po to, aby uczynić twierdzenie to łatwiej akceptowalnym. Powinienem być w stanie wypowiedzieć moją nieobecność, czystą i prostą, moją nie-obecność (*non-presence*) w ogóle, na przykład nie-obecność mojej intencji powiedzenia czegoś sensownego²³.

Derrida ma przez to na myśli, że nawet w pierwotnej chwili wytwarzania przynależy mu [jedynie] jakaś zinterpretowana obecność, obecność, która wkracza w pole widzenia w akcie interpretacji dokonywanej z konieczności przez tych, którzy go słyszą nawet w sytuacji [kontaktu] twarzą w twarz. Co więcej, jest to prawdziwe tak samo dla niego, jak i dla innych, skoro po to, aby „znać” swoje własne intencje musi sam siebie sprawdzić i zapytać o swoje motywy, używając takich kategorii podczas stawiania pytań, które z góry wyznaczają granice wyobrażenia, jakie sam o sobie może mieć²⁴. Nawet gdy jest obecny fizycznie, nie jest niezapóźredniczonym bytem ani we własnych oczach (czy uszach), ani w oczach swoich interlokutorów. (To samo można powiedzieć o nieobecnej obecności (*nonpresent presence*), nieobecności w ogóle (*disappearance in general*) męża na rysunku z „New Yorkera” albo o Derridy w mojej anegdocie.) Tak więc, kiedy Derrida oznajmia, iż „znak posiada cechę bycia zrozumiałym nawet jeśli moment jego wytworzenia jest nieodwołalnie utracony”²⁵, to musimy zrozumieć, że *sam* moment wytworzenia jest momentem utraty w taki sposób, że jego składowe – wliczając nadawcę, odbiorcę, odniesienia i przekaz – nigdy nie są przezroczyście obecne, lecz muszą być zinterpretowane, czy „wczytane” w byt. Zatem argumentacja Derridy w tym fragmencie przesuwają się od twierdzenia, że wypowiedzi (*utterances*) są odczytywalne nawet w szczególnych warunkach empirycznej nieobecności [nadawcy] do twierdzenia, że wypowiedzi są *jedynie*

23. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 180–181.

24. Znakomitą analizę pojawiania się i znikania osoby w obrębie jakiegoś systemu można odnaleźć w: Jacques Derrida, *Of Grammatology*, przeł. Gayatri Spivak, Johns Hopkins University Press, Baltimore 1976, s. 107–140. Wydanie polskojęzyczne – *O gramatologii*, przeł. Bogdan Banasiak, Wydawnictwo KR, Warszawa 1999 (przyp. tłumacza).

25. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 182.

odczytywalne (w przeciwieństwie do odszyfrowywania czy widzenia na wylot), nawet w zakładanych optymalnych warunkach fizycznej bliskości.

Właśnie ta intuicja przenika irytujące używanie przez Derridę pojęcia „powtarzalność” (*iterability*). Powiedzenie, iż coś jest powtarzalne zwykle rozumiane jest tak, że po jakimś pierwotnym użyciu to coś może być użyte *znowu* (powtórzone – *iter*); ale dla Derridy, powtarzalność jest *ogólnym* warunkiem stosującym się do pierwotnego użycia, które zatem nie jest pierwotne w sensie bycia poznany lub doświadczony bez odniesienia do czegokolwiek poza sobą. Staje się to jasne przy rozważaniu co musiałoby się dzieć w przypadku – który, jak powiada Derrida, zajść nie może – „nie-powtórzenia się jakiegoś zdarzenia”²⁶. Nie powtórzenie się zdarzenia byłoby jakimś zdarzeniem ujętym nie przez relację tożsamości (*same-ness*) bądź różnicy wobec czegoś innego (czegoś uprzedniego), lecz bezpośrednio, po prostu jako jego samego, ale jeśli składowe zdarzenia – jakkolwiek prostego czy złożonego, bliskiego czy dalekiego – pojawiają się w polu widzenia jedynie w akcie czytania, to w ogóle nie może zdarzyć się taki przypadek jak niepowtórzenie się, a każde zdarzenie jest zawsze i już reprezentacją lub repetycją. Ktoś taki jak Searle na coś takiego odparłby, zresztą całkiem do rzeczy, „repetycją lub reprezentacją czego?”. Odpowiedź brzmi: repetycją lub reprezentacją siebie samego, co wydaje się sprzecznością dopóki nie zrozumiemy, że twierdzenie jest dokładnie takie, że „siebie” (zdarzenia, jego czynników, przedmiotów, znaczeń) nigdy nie jest ujmowane inaczej niż w jakiejś zinterpretowanej – stąd powtórzonej lub reprezentowanej – formie. Właśnie to ma Derrida na myśli, kiedy mówi o „logice, która wiąże repetycję ze zmiennością”²⁷. Repetycja lub reprezentacja czegoś jest różna od tego czegoś, które staje się jej innym; ale skoro repetycja lub reprezentacja jest wszystkim, co można mieć, to zawsze będzie ona „inna” niż ona sama. Mówiąc słowami Samuela Webera, „Jeśli coś musi być powtarzalne, aby stało się przedmiotem dla świadomości, to nigdy nie może być to całkowicie uchwycone, będąc już rozszczępionym i przez swoje bycie powtórzonym (czy dokładniej: przez swoje *powtórzenie* [będąc] *bytem*)”²⁸. Powtarzalność, zatem, stanowi ogólny warunek czytalności (*having-to-be-read*), a niepowtarzalność stanowi warunek dostępności niezależnej od czytania, sytuację, której, wedle argumentacji Derridy, nigdy nie mamy przyjemności doświadczać. Krótko mówiąc, niepowtarzalność jest innym słowem dla oznaczenia pełnej i niezapośredniczonej obecności, a powtarzalność jest kolejnym określeniem odczytywalności (*readability*), nie jako możliwości, ale jako konieczności. Jest to konieczność, która została już pokazana na przykładzie rysunku z „New Yorkera”: nawet

26. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 192.

27. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 180.

28. Samuel Weber, *It*, s. 7.

w najbardziej przychylnych okolicznościach, gdy kobieta jest jak najbliżej swego męża, jego wygląd (słowo sympatycznie wahające się pomiędzy istotą [*substance*] a powierzchnią [*surface*]), jego intencje i to, co ma na myśli wyłaniają się jedynie w akcie interpretacji, dla którego są przypuszczalnie podstawą. Wszystkie one są iterowanymi, powtórzonymi, reprezentowanymi, albo mówiąc jednym słowem – „czytanymi” bytami (*entities*). Moment wymiany twarzą w twarz, który zakłada Condillac w swojej teorii komunikacji, jest momentem wytwarzania w obrębie czytania tego, co jest uznane za uprzednie wobec czytania. Używając pojęć Derridy, gest interpretacyjny, który grozi zainfekowaniem podstawy (czyli obecności) odpowiada za samą formę podstawy i wszystkiego, co ona zawiera, wliczając osoby, ich przekazy i same ich światy. To zewnątrz jest swoim wnętrzem, samą mocą i prawem swego wyłaniania się.

II

Jednym z rezultatów tej teorii komunikacji codziennej, czy twarzą w twarz, jest postawienie w trybie natychmiastowym pytania o język fikcyjny: ponieważ to właśnie język fikcyjny, według tradycyjnego określenia, powołuje do istnienia światy, razem z przedmiotami, postaciami, wydarzeniami i intencjami, podczas gdy zwyczajny czy poważny język, powiada się, jest odpowiedzialny wobec świata faktów empirycznych. Właśnie to rozróżnienie tkwi u podstaw decyzji Austina, by wykluczyć ze swej teorii aktów mowy wypowiedzi fikcyjne i z zakresu sztuki dramatycznej, a właśnie ta decyzja jest mniej lub bardziej przyczyną krytyki Derridy. Kluczowy fragment pojawia się u Austina w drugim rozdziale:

Wypowiedź performatywna będzie, na przykład, *osobliwie* wyrażona czy pusta, jeśli zostanie wygłoszona na scenie przez aktora, pojawi się w wierszu lub wypowie się ją w samotności. Odnosi się to w podobny sposób do każdej wypowiedzi – swoiste okoliczności wprowadzają zasadniczą zmianę. Język w takich okolicznościach w szczególności sposób, sposób, który podpada pod doktrynę *osłabienia* języka [...] nie jest używany na poważnie, ale w pewnym sensie *pasżytuje* na normalnych użyciach²⁹.

Rozumowanie kryjące się za tą deklaracją jest wystarczająco jasne: mówiący w wierszu, czy aktor na scenie nie wygłasza swojej wypowiedzi z pełną i obecną intencją, lecz z intencją należącą do kogoś za nim, do poety lub autora sztuki; do aktora należy [tylko] *wypowiedź sceniczna*. Żeby dotrzeć do jej prawdziwego znaczenia musimy sięgnąć poza scenę do jej wytwórczego źródła w świadomości

29. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 33.

autora. Interpretując tę illokucyjną moc wypowiedzi scenicznych pozostajemy, mówiąc krótko, w pewnym dystansie [od ich źródła].

Odpowiedź Derridy jest taka, iż zawsze i już pozostajemy w takim dystansie, i taka też odpowiedź zawarta jest w przykładach, od których rozpoczął się ten esej. Gdyby Derrida miał stanąć przede mną, wraz ze swoją książką, swoją dedykacją i swoją „obecnością”, to ja wciąż znajdowałbym się w sytuacji teatromana wnioskującego o jego intencji i znaczeniu nie bezpośrednio z jego słów, ale przez już gotowy pryzmat tego, co założyłem jako jego cele, dążenia, zainteresowania i tym podobne. Postępowalby tak dalej, na podstawie przypisywanej mu przeze mnie roli, jaką odgrywa w odniesieniu do swych „rzeczywistych”, bądź wewnętrznych, bądź „pozascenicznych” intencji; także żona z rysunku w „New Yorkerze” postępuje w ten sam sposób, gdy słyszy swego męża jak mówi, iż jest mu przykro, ale uznaje, że wcale nie jest mu przykro, że jedynie udaje, ponieważ wie jakim człowiekiem on jest „w rzeczywistości”. I nawet gdybym natychmiast wziął słowa Derridy za dobrą monetę lub gdyby owa żona nigdy, nawet na chwilę, nie zwątpiła w szczerość męża, to tak ona, jak i ja wciąż działalibyśmy wewnątrz jakiejś uprzedniej konstrukcji charakteru naszych interlokutorów. Jeśli przez „wypowiedzi sceniczne” rozumie się wypowiedzi, których moc illokucyjna musi być wywnioskowywana bądź konstruowana, to wszystkie wypowiedzi są wypowiedziami scenicznymi i nie da się ich odgraniczyć od wypowiedzi, które są „na poważnie”³⁰.

Istnieje jednakże jeszcze inny tryb podtrzymywania stanowiska, że wypowiedzi sceniczne czy literackie nie są „używane na poważnie”; można wskazać na ich perlokucyjne rezultaty, albo raczej, jak czyni to Austin, na nieobecność tychże rezultatów: „Istnieją pasożytnicze użycia języka, które »nie są na poważnie«, nie są »w pełni normalnymi użyciami«. Normalne warunki odniesienia mogą zostać zawieszane, czy też, podczas typowego aktu perlokucyjnego, nie zostanie podjęta żadna próba, by spowodować, abyśmy uczynili cokolwiek, tak jak Walt

30. Zob. Johnson, *Mallarmé and Austin*, s. 60: „Wypowiedź performatywna [...] automatycznie fikcjonalizuje wypowiadającego, kiedy czyni go rzecznikiem jakiejś skonwencjonalizowanej władzy (*authority*). Gdzie jeszcze, na przykład, poza konwentem partyjnym mógłby zostać nominowany kandydat na prezydenta? Za fikcją podmiotu stoi fikcja społeczeństwa [...] Nie jest, rzecz jasna, naszą intencją niwelowanie różnic pomiędzy, powiedzmy, wierszem i wyrokiem, lecz jedynie problematyzacja założeń, na których takie rozróżnienia są oparte. Jeśli ludzie bywają wydani na śmierć przez wyrok, a nie przez wiersz, to nie dlatego, że prawo nie jest fikcją”. Zob. także: Pratt, *Ideology*, s. 10: „Autorstwo jest pewną, społecznie ukonstytuowaną pozycją zajmowaną przez mówiący podmiot i obdarzoną określonymi cechami oraz relacjami wobec innych wymiarów tego podmiotu. Alternatywnie, moglibyśmy powiedzieć, że zasugerowany autor istnieje we wszystkich aktach mowy – autor jest zasugerowany w tekście tylko w taki sam sposób, w jaki podmioty są sugerowane w jakichkolwiek aktach mowy, jakich dokonują”. Istnieje na ten temat rozbudowana dyskusja w moim tekście *How to Do Things with Austin and Searle*, w: *Is There a Text in This Class?*, s. 197–245, zwłaszcza s. 231–44.

Whitman nie nawołuje na poważnie orła wolności, by ten wzleciał”³¹. Tutaj argument rozpoczyna się wraz ze słowami „na poważnie”, co wydaje się oznaczać uczciwie (*straightforwardly*) bądź niemetaforycznie i dlatego też – owocnie z punktu widzenia działania w świecie. Teza, krótko mówiąc, jest taka, że tylko kiedy słowa wypowiedzi odnoszą się do możliwych do empirycznego określenia warunków, można je nazwać poważnymi. Lecz taka rygorystyczna definicja tego, co poważne wykluczyłaby wiele aktów perlokucyjnych, jakie codziennie wykonujemy. Z pewnością, na przykład, polityk nawołujący orła wolności, by wzleciał, czyniłby to na poważnie, częściowo dlatego, że usiłowałby sprawić, by słuchający go coś *zrobili* przez spowodowanie, aby myśleli o sobie jako namiestnikach (*extensions*) orła wolności. Ktoś chcący zachować różnicę pomiędzy tym, co poważne, a tym, co literackie mógłby skorzystać z argumentu „z użycia” i wykazać, że polityk mówiłby po prostu jedno (metaforycznie) a miał na myśli coś innego (rzeczywistego); ale to samo można by zaobserwować w odniesieniu do poety lub dramatopisarza, który używa alegorycznej bajki, by skłonić do działań politycznych. Jednakże relacja pomiędzy efektem perlokucyjnym a metaforą jest określona, i nie można zamieniać tego określenia na rozróżnienie pomiędzy wypowiedziami poważnymi i literackimi, skoro perlokucje i metafory odnajdują się w obu. Obserwacji tej nawet nie trzeba by czynić w odniesieniu do estetyki preromantycznej, która była otwarcie dydaktyczna i nakłaniająca (nie można sobie wyobrazić Milтона, Herberta lub Johnsona mówiących, że oczywiście nie oczekują od swych czytelników, by ci, w odpowiedzi na ich prace, robili cokolwiek); i podczas gdy niektóre nowoczesne (*modernist*) estetyki powiadają nam, że literatura musi być rygorystycznie oddzielona od działania jakiegokolwiek rodzaju, to przeczytanie czy wysłuchanie jakiegokolwiek sztuki bądź wiersza angażuje wydawanie sądów, podejmowanie decyzji, formowanie się postaw, wyrażanie aprobaty i dezaprobaty, poczucie empatii lub wstrętu i setkę innych, które są w równym stopniu efektami perlokucyjnymi, co najbardziej jawny fizyczny ruch. Ostatecznie można najwyżej powiedzieć, że te rodzaje rezultatów perlokucyjnych wytwarzanych przez dyskurs literacki i nieliteracki są czasami, ale nie zawsze czy koniecznie, odmienne, a i to nie wystarczy, by zagwarantować rozróżnienia, jakie Austin chce przeprowadzić pomiędzy zwyczajnymi i szczególnymi okolicznościami, pomiędzy użyciem normalnym i pasożytniczym, pomiędzy wypowiedziami z rzeczywistego świata (*real-world utterances*) i wypowiedziami scenicznymi bądź fikcjonalnymi. Za każdym razem warunki, jakie rzekomo odgraniczają słabszy, czy pochodny przypadek mogą zostać ukazane jako równie dobrze określające przypadek normatywny. Jak mówi Derrida, „to, co Austin wyklucza jako anomalie, wyjątek, »to, co nie-

31. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 104

poważne«, *cytat* (na scenie, w wierszu lub monologu) jest określoną modyfikacją ogólnej cytowalności (*a general citationality*), czyli szczególnym przypadkiem generalnej zasady³².

Istnieją dwa oczywiste zarzuty wobec takiej linii rozumowania. Pierwszy stawia sam Derrida: jeśli wszystkie wypowiedzi, poważne tak samo jak i fikcjonalne, są oddzielone od znajdującego się w centrum źródła (*centering origin*) i pozostawione „istotowemu dryfowi” (*essential drift*)³³, to jak to się dzieje, że udaje się w świecie zadowalająco załatwić jakiegokolwiek sprawy związane ze słowami? Nie można zaprzeczyć, przyznaje Derrida, „że istnieją także performatywy, które odnoszą skutek, i należy to wyjaśnić: zwołuje się spotkania, [...] ludzie mówią: »stawiam pytanie«; zakładają się, wzywają do zrobienia czegoś, chrzczą statki, a czasem nawet biorą ślub. Wydawałoby się, że wszystkie te rzeczy występują. A nawet jeśli tylko jedna z nich miała miejsce tylko raz, to wciąż bylibyśmy zobowiązani do wyjaśnienia tego”³⁴.

Derrida najpierw odpowiada na swój zarzut mówiąc „być może”, a następnie zabierając się za bliższe zbadanie pojęcia „zachodzenia” (*occurrence*). Jeśli przez zachodzenie rozumie się jakieś wydarzenie, którego oczywistość może zostać zweryfikowana przez niezależne świadectwo z *zewnątrz*, to takie wydarzenie nie ma miejsca (*occur*), ponieważ nie ma „całkowicie ujednoliconego kontekstu” (*totally saturated context*), kontekstu tak przezroczystego, że jego wskazówki interpretacyjne mogą zostać odczytane przez kogokolwiek niezależnie od jego stanowiska; [nie ma] kontekstu, który wyklucza interpretację, dlatego, że nosi swój sens [wypisany] na twarzy. Lecz jeśli przez zachodzenie rozumie się przekonanie [leżące] po stronie dwóch lub więcej kontekstualnie połączonych rozmówców, że jakiś konkretny akt mowy miał miejsce, to takie zdarzenia mają miejsce przez cały czas, chociaż niezależnie od tego przekonania żadne zewnętrzne świadectwo nie mogłoby zweryfikować komunikacji. (Oczywiście, rozmówcy często później *działają* zgodnie z przekonaniem, że komunikacja zaszła, i że kontynuowanie działania jest jakimś rodzajem weryfikacji; ale *wynika* to z przekonania, a nie mieści się poza nim).

Derrida podaje jako przykład kontekst, w jakim oryginalnie wygłosił – ustnie, oczywiście – tekst *Signature Event Context*, filozoficzne kolokwium w języku francuskim, którego tematem była komunikacja. Derrida nazywa to kolokwium „konwencjonalnym kontekstem wytworzonym przez jakiś rodzaj konsensusu, który jest milczący ale strukturalnie niejasny”³⁵. Oznacza to, iż podczas, gdy konsensus

32. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 191.

33. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 182.

34. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 191.

35. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 174.

ten z pewnością obowiązuje, to nie może być on utożsamiany z jakimś jawnym stwierdzeniem [jego istnienia], ponieważ samo owo stwierdzenie byłoby „konsensualnie” odczytywalne jedynie przez tych, których świadomość jest już wypełniona celami i założeniami, które zapewniają kolokwium jego tożsamość. Spostrzeżenie to Derrida czyni w jednym ze swoich typowych żartów, kiedy przedstawia własne stanowisko – formalne i napisane – wobec owego konsensusu. Zrozumiałe jest, wyjaśnia on, że jest się na tym kolokwium po to, aby „zapropozować »komunikację« dotyczącą komunikacji, komunikację w formie dyskursywnej, komunikację kolokwialną, komunikację ustną przeznaczoną do słuchania i do angażowania się w nią lub prowadzenia rozmów w horyzoncie zrozumiałości i prawdy, które są znaczące”³⁶. Ale wszystko to, powiada, jest „oczywiste, a ci, którzy powątpiewają w to muszą tylko zerknąć do programu, aby się przekonać”³⁷. Dowcip polega na tym, że będzie to oczywiste jedynie dla tych, którzy *potrafią* zerknąć do programu lub którzy wiedzą, co to znaczy zerknąć do programu filozoficznego kolokwium, a oni *już* są przekonani, gdyż ich zdolność zerknięcia współwystępuje z wiedzą dlaczego tam się znaleźli. Ktoś pozbawiony tej zdolności – przechodzień, któremu się przydarzyło zabłądzić do sali obrad – mógłby jedynie zostać przekonany, że nie ma tu dla niego miejsca.

Oto, zatem, jak zdarzają się skuteczne performatywy, za pomocą podzielanych założeń, które umożliwiają mówiącym i słuchającym przypisywanie tego samego sensu słowom, które wymieniają. Wyjaśnia to także, dlaczego występowanie skutecznych performatywów nie jest pewne, bo ci, którzy słyszą wewnątrz odmiennych założeń będą wytwarzać odmienny sens. Jednym ze sposobów, by oprzeć się tej argumentacji, sprawiając wrażenie zgody na nią, jest uczynienie z zestawu założeń przedmiotu [badania] przez stworzenie projektu jego opisu. Derrida sądzi, że jest to projekt, jaki Austin realizuje pod nazwą „kontekst”, kiedy oznajmia w słynnym fragmencie, że „to, co musimy badać to *nie* zdanie, lecz wygłaszanie wypowiedzi w sytuacji mówienia”³⁸. To wyrwanie niezależnego (*freestanding*) zdania z jego tradycyjnego uprzywilejowanego położenia jest zwykle uznawane za najsilniejsze posunięcie Austina; lecz Derrida uważa, że to posunięcie robi bardzo niewielką różnicę, skoro sytuacje mówienia bądź konteksty są pomyślane jako samo-identyfikujące się, albowiem stanie się wówczas tyle tylko, że jeden samo-interpretujący się byt zostanie zastąpiony przez inny. Zamiast zdań oznajmiających swoje znaczenie, będziemy mieli teraz konteksty, które oznajmiają swoje znaczenie.

36. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 174.

37. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 174.

38. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 138.

Rzecz rozgrywa się tutaj pomiędzy dwoma pojęciami kontekstu: tradycyjnie kontekst definiuje się jako zbiór cech, a zatem jako coś, co może zidentyfikować jakikolwiek obserwator mający oczy szeroko otwarte; ale Derrida myśli o kontekście jako o strukturze założeń i tylko ci, którzy trzymają się tych założeń, lub też są przez nie trzymani, mogą je najpierw dostrzec, a następnie zidentyfikować jako należące do kontekstu. Jest to różnica pomiędzy myśleniem o kontekście jako czymś w świecie, a myśleniem o nim jako o *konstrukcji* świata, konstrukcji, która sama została wykonana w warunkach należących do jakiegoś kontekstu. Według tego drugiego rozumienia nie można już dłużej tak po prostu (tj. bez interpretacji) odwołać się do kontekstu po to, aby rozstrzygać dyskusje lub rozwiewać wątpliwości na temat znaczenia, gdyż konteksty, choć produktywnie dla interpretacji, stanowią także wytwór interpretacji. Bezużyteczne byłoby, na przykład, rozstrzyganie kłótni pomiędzy mężem i żoną na rysunku z „New Yorkera” przez odwołanie się do kontekstu, ponieważ kłótnia ma miejsce właśnie dlatego, że kontekstualne warunki swojej rozmowy odbierają oni inaczej. Rzecz jasna, wciąż jest tak, jak przyznaje Derrida, że przeprosiny są pomyślnie składane i przyjmowane („istnieją także performatywy, które są skuteczne”), ale kiedy to się zdarza, dzieje się tak dlatego, że strony wciąż podziwiają, bądź są podziwiani przez te same kontekstualne złożenia, a nie dlatego, że każdy może sprawdzić, co mówi ktoś inny, odwołując to do jakichś niezależnie dostępnych cech empirycznego kontekstu. Kontekstualne cechy prostej wymiany są nie mniej „odczytywane” i tym sposobem nie bardziej „absolutnie” ograniczające niż kontekstualne cechy przedstawienia scenicznego czy rozmowy zrelacjonowanej w wierszu.

To z kolei prowadzi mnie wprost do drugiego sprzeciwu wobec tej linii argumentacji, sprzeciwu [mówiącego], że zaprzecza ona oczywistym różnicom pomiędzy fikcją i realnym życiem. Faktycznie jednak niczemu ona nie zaprzecza. Po prostu podkreśla, że różnice, jakiegokolwiek by one nie były (a nie zawsze są takie same), nie układają się wokół jakiegos podstawowej bądź wyróżnionej różnicy pomiędzy niezapośredniczonym doświadczeniem a doświadczeniem, które jest wytworem działalności interpretacyjnej. Jeśli prawdą jest, jak utrzymują Searle, Ohmann i inni, że budujemy świat powieści czytając ją w obrębie zbioru kształtujących konwencji czy strategii interpretacyjnych, to w nie mniejszym stopniu jest także prawdą przybieranie oczywistego kształtu przez równie konwencjonalne światy, w obrębie których doświadczamy prawdziwego życia. Takie „fakty” jak gra w baseball, sytuacja w klasie, zjazd rodzinny, wyprawa do sklepu spożywczego, kolokwium filozoficzne na temat języka francuskiego są faktami jedynie dla tych, którzy działają wewnątrz uprzedniej wiedzy o celach i praktykach, które leżą u podstaw tych działań. I znowu nie oznacza to, że nie ma między nimi żadnej

różnicy, lecz tylko, iż one wszystkie mają charakter konwencjonalny tak samo, jak fakty, które za sobą pociągają.

Wynikiem jest nie odrzucenie rozróżnień, ale powtórne określenie ich jako rozróżnień pomiędzy odmiennymi rodzajami działalności interpretacyjnej. Tak więc można by przeciwstawić sobie prawo, gdzie praktyka interpretacyjna jest taka, iż wymaga ona pojedynczego odczytania (werdyktu) oraz praktykę krytyki literackiej, gdzie istnieje nacisk, [by dokonywać] wielu odczytań (do tego stopnia, że tekst, który wydaje się oferować tylko jedno odczytanie znalazłby się w niebezpieczeństwie utraty określenia „literacki”). A jeśli to przeciwstawienie zostałoby rozszerzone na „zwyczajną rozmowę”, to praktyka interpretacyjna okazałaby się bardziej podobna do prawa niż do krytyki literackiej przez to, że pojedyncze odczytanie jest tu przyjętą normą, lecz inaczej niż w prawie, jest to odczytanie, którego nie potrzeba wypracowywać, bo milczącą regułą zwyczajnej rozmowy jest to, że akceptuje się rzeczy tak, jak (kontekstualnie określone) się jawią i nie próbuje się przenikać pod powierzchnię (znow kontekstualnie określoną) wypowiedzi. (Austin czyni z tego regułą etyczną na stronach 10 i 11 tekstu *How to Do Things with Words*). To właśnie naruszenie tej reguły powoduje, że rysunek z „New Yorkera” jest zabawny; nie powinno się kwestionować powierzchownej szczerości w codziennych kontaktach, a kiedy to czynimy, to pojawiające się w rezultacie zaburzenie od razu wydaje się irytujące (dla męża z rysunku) i śmieszne (dla czytelników „New Yorkera”). Można by w takim razie powiedzieć, że zwyczajny czy codzienny dyskurs charakteryzuje pewność interpretacyjna, a w rezultacie minimalna samo-świadomość działalności interpretacyjnej. Nie powinno się tego rozumieć tego w ten sposób, że warunki empiryczne zwyczajnego dyskursu *wymuszają* pewność interpretacyjną; to już raczej pewność interpretacyjna, jako założenie, które wytwarza określone zachowanie, wytwarza także empiryczne warunki, jakie zakłada.

Oczywiście, można by to rzec o wszystkich konwencjonalnych działaniach, z których każde pojawia się w jakimś układzie, który działanie takie także rozwija (*elaborates*), i z których każde konstytuuje fakty w swoim polu odniesienia. To podsuwa nam możliwość nowego projektu czy nowej metafizyki, taksonomicznego podejścia do konwencjonalnych działań i różnych rodzajów faktów, które nam one udostępniają. Takie podejście, jednakże, samo byłoby jakimś działaniem konwencjonalnym a zatem nie mogłoby umknąć „interesowności”, do której opisu rościłoby sobie prawo. Co więcej, podejście takie nigdy nie potrafiłoby dotrzymać kroku zdolnościom konwencjonalnych praktyk do modyfikacji, do kurczenia się bądź rozrastania tak, że granice pomiędzy nimi, wraz z faktami przez owe granice wykreślonymi, nieustannie się zmieniają. Jednym słowem, konwencjonalne różnice same są kwestią konwencji i nie są bardziej dostępne bezpośredniemu badaniu niż fakty, które za sobą pociągają. Właśnie dlatego określenie zarówno

czy coś jest faktem czy nie, jak i jakiego rodzaju jest to fakt, może być kwestią dyskusyjną, kiedy wprowadza się w życie różne kryteria różnicy; właśnie dlatego też dyskusje takie mogą zostać rozstrzygnięte jedynie przez przywołanie procedur dowodowych (*evidentiary procedures*), które będą nie mniej konwencjonalne niż fakty, które mają ustanowić. Moja poranna gazeta donosi, że w Annapolis postawiono tablicę upamiętniającą przybycie do Ameryki Kunta Kinte, wysiedlonego Afrykańczyka. W tym samym czasie władze Dublinu przeciwstawiają się wysiłkom komitetu wielbicieli Joyce'a (*Joyceans*), by przytwierdzić pamiątkową tablicę na drzwiach domu, w którym urodził się Leopold Bloom, odwołując się do tego, iż jest on jedynie postacią fikcyjną. Te dwie sprawy wydają się jednoznaczne tylko do momentu kiedy zacznie się je badać. Pierwotnym dokumentem zaświadczającym o niezależnym istnieniu Kunta Kinte są *Korzenie* Alexa Haleya³⁹, dzieło, którego integralność – jako rezultatu badań – jest bardzo wątpliwa; podczas gdy, jak ostatnio zauważył Hugh Kenner, Bloom jest postacią pełniej udokumentowaną niż irlandzki bohater narodowy Cuchulain, którego figura stoi w dublińskim urzędzie pocztowym. Granica pomiędzy faktem i fikcją nie może zostać definitywnie zakreślona ani przez powiedzenie, że naprawdę istniał kiedyś Kunta Kinte niezależnie od tego, jak niedoskonale rzecz jest udokumentowana, ani przez utrzymywanie, że istniał jakiś niewolnik o podobnym imieniu, którego postać [stworzona przez] Haleya jest reprezentacją; ponieważ to samo można powiedzieć o Bloomie, który jest reprezentacją, jak wierzy wielu uczonych, człowieka o nazwisku Hunter, dublińczyka, który zmienił nazwisko (być może z Bloom), ponieważ identyfikowało go ono jako Żyda. Nie chodzi o to, iż granic tych nie można ustalić, ale o to, że zostają ustalone przez interpretacyjne czy instytucjonalne działania, a nie przez świadectwa, które są dostępne niezależnie od takich działań. Jeśli Kunta Kinte ma swoją tablicę pamiątkową w Annapolis, to nie dlatego, że został obiektywnie uznany za realną osobę; to raczej uznanie go za osobę realną, kiedy i jeśli jest zupełne, będzie łącznym wytworem takich działań, jak postawienie tablicy upamiętniającej go, a moc *takich* działań zależy od konwencji wiążących stawianie tablic z uznawaniem postaci historycznych.

Rzecz znów nie w tym, że nie istnieje coś takiego jak postaci historyczne, lecz, że ta kategoria jest nie mniej konwencjonalna (z członkostwem [w niej] ustanowionym konwencjonalnie) niż kategoria postaci fikcyjnych. Fakt, że jest to kategoria konwencjonalna nie oznacza jednak, że samo rozróżnienie: albo Kunta Kinte realnie istniał, albo nie – jest konwencjonalne. Ale procedury ustalania *faktu* jego realności zawsze będą konwencjonalne; to znaczy, fakt zawsze będzie

39. Pozwoliłem sobie przetłumaczyć tytuł *Roots* – choć, jak mi się wydaje, sama książka nie doczekała się jeszcze polskiego przekładu – ponieważ nasza telewizja publiczna kilkakrotnie wyświetlała serial na niej oparty, rzecz nie jest więc zupełnie nieznaną (przyp. tłumacza).

posiadał status czegoś określonego wewnątrz jakiegoś inteligibilnego systemu (*a system of intelligibility*) i nigdy nie posiadał statusu czegoś określonego poza jakimkolwiek systemem. Niemniej jednak, ponieważ zawsze istnieje jakiś system, wypełniony procedurami dowodowymi i regułami ich stosowania, to takiego określenia zawsze może dokonać (choć, wobec roszczeń innych systemów zawsze można je podważyć).

Właśnie dlatego Derrida ostentacyjnie *odmawia* dojścia do wniosku, że „nie istnieje żaden performatywny efekt, efekt zwyczajnego języka, efekt obecności czy zdarzenia dyskursywnego (aktu mowy). Jest po prostu „tak – powiada – że te efekty nie wykluczają tego, co jest ogólnie im przeciwstawione, jedno pojęcie drugiemu; przeciwnie, z góry zakładają to [...] jako ogólną przestrzeń swej możliwości”⁴⁰. Oznacza to, że *istnieją* różnice w doświadczanym świecie dyskursu, które korespondują z różnicami tradycyjnie ustanowionymi pomiędzy komunikacją twarzą w twarz a komunikacją osłabioną, pomiędzy postaciami historycznymi i fikcyjnymi. Chodzi po prostu o to, że owe różnice nie tyle biorą się z jakiejś *podstawowej* różnicy pomiędzy doświadczeniem bezpośrednim i zapośredniczonym, ile raczej wyznaczają różnorodność zapośredniczania. Prawdą jest, że ta różnorodność może zostać uporządkowana ze względu na dystans wobec jakiegoś idealnego, czy normatywnego przypadku, przypadku zwykłych warunków (*ordinary circumstances*), lecz, jak widzieliśmy, nie jest on niczym więcej niż pewnym zbiorem praktyk interpretacyjnych (takich jak praktyka zakładania [czyjejs] szczerości), który wytwarza to, co pozornie leży u podstaw tych praktyk. Dystans nie jest jakimś szczególnym warunkiem, w odniesieniu do którego interpretacja staje się konieczna; jest warunkiem ogólnym („ogólna przestrzeń [...] możliwości”) wytwarzającym wszystko, wliczając w to okoliczności (*circumstances*) – zwyczajne, czy też okoliczności pełnej obecności – od których rzekomo uwalnia się. Jakakolwiek nie obowiązywałaby hierarchia sytuacji komunikacyjnych, to nie jest ona hierarchia naturalną, chociaż w przestrzeni, którą wytworzyły instytucje i konwencje – ostatecznie w jedynej dostępnej przestrzeni – odbierze się ją jako naturalną, przynajmniej do czasu podważenia jej i ponownego ukonstytuowania się w innej, równie zinstytucjonalizowanej formie⁴¹. Chociaż nie istnieje czysty performatyw w takim sensie, który zezwala

40. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 193.

41. Zob. Jacques Derrida, *O gramatologii*, s. 72: „Jeśli »pismo« oznacza zapis, przede wszystkim zaś trwale ustanowienie znaku [...], to pismo w ogóle obejmuje cały obszar znaków językowych. W obszarze tym może się następnie pojawić pewien rodzaj znaczących ustanowionych, »graficznych«, w ścisłym i pochodnym sensie tego słowa, rządzonych pewnym stosunkiem do innych znaczących ustanowionych, a zatem »pisanych«, nawet jeśli są one »foniczne«”. Równa się to powiedzeniu, że w obszarze ustanowionych znaczących, jakiś jeden rodzaj zajmie pozycję – w obrębie instytucji – tego, co „naturalne”. Zob. także s. 74: „Zerwanie tego »naturalnego

na wykluczenie przez Austina wypowiedzi scenicznych, to istnieje, jak wyjaśnia Derrida, „relatywna czystość” performatywów, ale, ciągnie dalej, „owa relatywna czystość nie wylania się w opozycji do cytowalności (*citability*) czy powtarzalności (*iterability*) [określenia Derridy w *Signature Event Context* na to, co instytucjonalne], lecz w opozycji do innych typów powtarzania wewnątrz ogólnej powtarzalności”⁴². Owa powtarzalność – warunek odczytania czegoś – wypełnia całą przestrzeń i nie może zostać przeciwstawiona „pojedynczemu i pierwotnemu zdarzeniu-wypowiedzi”, przezroczytemu i prostemu aktowi mowy, którego *How to Do Things with Words* jest rozbudowanym, lecz nieskutecznym poszukiwaniem.

III

Derrida, który wylania się na poprzednich stronach może zaskoczyć niektórych czytelników, jako że nie całkiem wygląda na apostoła „wolnej gry”, którego nauczyli się obawiać bądź też podziwiać. Podczas gdy z pewnością nie jest on wyznawcą zdeterminowanego znaczenia (*determinate meaning*) w taki sposób, jaki zadowoliliby, powiedzmy, M. H. Abramsa czy Fredericka Crewsa, to wierzy on, że komunikacja między dwiema lub więcej osobami regularnie ma miejsce, i to w dodatku z „relatywną” pewnością, która zapewnia ciągłość codziennego życia. Derrida, bardziej niż kimś, kto wywraca zdrowy rozsądek do góry nogami, jest filozofem zdrowego rozsądku, to znaczy leżących u podstawy założeń i konwencji, w obrębie których określony zostaje kształt zdrowego rozsądku i gdzie nabiera swej potężnej mocy. Można by nawet rzec, z odpowiednimi zastrzeżeniami, iż jest on filozofem języka potocznego. Mówiąc to sugeruję, że Derrida i Austin mogą nie być tak od siebie odlegli, jak niektórzy uważają. Searle rozpoczyna swoją odpowiedź Derridzie stwierdzając, że konfrontacja pomiędzy tymi dwoma filozofami „nigdy właściwie nie ma miejsca”, ponieważ przepaść ich oddzielająca jest tak bardzo szeroka, a nawet jest jeszcze rozszerzana przez „błędy” Derridy⁴³. Ja chcę argumentować, iż – przeciwnie – konfrontacja nigdy właściwie nie ma miejsca, ponieważ ostatecznie nie ma pomiędzy nimi wystarczająco dużo przestrzeni, aby pomieścić konfrontację i w reszcie tego eseju chcę przeprowa-

przywiązania« jest dla nas raczej zakwestionowaniem idei naturalności niż idei przywiązania. Właśnie dlatego słowa »ustanowienie« nie należy zbyt pochopnie interpretować zgodnie z systemem klasycznych przeciwieństw. Czyli fakt, że wszystko ma instytucjonalny charakter nie oznacza, że nie istnieją rozróżnienia, normy, czy wzorce (*standards*) – żadne »przywiązania« – tylko, że owe przywiązania właśnie dlatego, że zostały instytucjonalnie bądź społecznie ukonstytuowane, nie są wieczne, a zatem mogą się zmienić”.

42. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 192.

43. John Searle, *Reiterating the Differences: A Reply to Derrida*, „Glyph” 1/1977, s. 198.

dzić rozumowanie wychodzące właśnie z przeciwnego kierunku, skupiając się na procesie, w którym, we wnioskach z *How to Do Things with Words*, rzekomo normatywna klasa konstatacji jest ukazana jako część rzekomo wyjątkowej klasy performatywów. Gdy tylko odwrócenie to zostanie dokonane, następuje wszystko to, o czym mówi Derrida, włączając w to zakwestionowanie przez niego wykluczenia fikcyjnych, czy scenicznych wypowiedzi.

Oryginalne rozróżnienie, tak jak zostało pierwotnie podane, przeciwstawia wypowiedzi odpowiedzialne wobec faktów niezależnego świata wypowiedziom powodującym zaistnienie faktów pewnego rodzaju. Wypowiedzi pierwszego typu to konstatacje, których rolą jest „opisanie» pewnego stanu rzeczy lub »stwierdzenie pewnego faktu«, co uczynić muszą albo prawdziwie, albo fałszywie”⁴⁴. Performatywy, z drugiej strony, są działaniami, w tym sensie, że raczej powodują i tworzą niż relacjonują stany rzeczy. Jeśli powiem „obiecuję (zrobić X)”, to rezultat takiego „działania mówionego” ma ustanowić przyszły obowiązek (właśnie tym, na mocy definicji, jest obietnica); ten obowiązek nie był jakimś uprzednim faktem, w oparciu o którego istnienie relacjonowałem coś mówiąc „obiecuję”, lecz faktem, który pojawił się w świecie z racji powiedzenia przeze mnie „obiecuję”. Oczywiście, stworzenie obowiązku nie zależy tak po prostu od słów, ale od wypowiedzenia słów w odpowiednich okolicznościach; jeśli obiecuję zrobić coś, co już zrobiłem, coś, co nie przyniesie temu, komu to obiecuje korzyści, bądź coś, co i tak miałem właśnie uczynić, to obietnica będzie pusta, nieważna, czy też niestosowna z różnych powodów analizowanych przez Searle’a w *Czynnościach mowy*. Stosowność, zatem, przysługuje performatywom tak jak prawda i fałsz przysługują konstatacjom. Różnica polega na tym, że stosowność jako kryterium (*standard*) zmienia się w zależności od okoliczności – jest społecznym czy instytucjonalnym osądem – podczas gdy prawda i fałsz jako kryterium odnoszą się do relacji (pomiędzy słowem i światem), która zawsze zachodzi.

Chociaż Austin kreśli tę różnicę bardzo stanowczo na pierwszych stronach, to znaczna część książki poświęcona została jej zamazywaniu. Zamazywanie rozpoczyna się wraz z ostatnim zdaniem pierwszego rozdziału: „»Fałszywy« niekoniecznie odnosi się jedynie do stwierdzeń”⁴⁵. Na końcu rozdziału 4 mówi się nam, iż „aby wyjaśnić, co może w stwierdzeniach szwankować nie możemy się koncentrować jedynie na wchodzącym w grę sądzie (*proposition*) (cokolwiek to jest) tak, jak to się czyniło tradycyjnie”⁴⁶. Nawias opowiada swoją własną historię: jeśli nie potrafimy wyizolować sądu (*proposition*), to będzie trudno wyodrębnić własności stwierdzenia. Na początku rozdziału 5 Austin

44. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 1.

45. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 11.

46. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 52.

przyznaje, że „istnieje niebezpieczeństwo załamania się naszego początkowego [...] rozróżnienia na konstatacje i performatywy”, a rozdział 6 otwiera sugestią, że „performatyw nie jest w tak oczywisty sposób całkowicie różny od konstatacji”⁴⁷. W rozdziale 7, Austin zatrzymuje się, by „rozważyć, gdzie się znajdujemy” i donosi, że teraz już „znaleźliśmy wystarczające wskaźniki, że niefortunność wydaje się charakteryzować oba rodzaje wypowiedzi [...] i że wymóg podporządkowywania się czy pozostawania w pewnej relacji z faktami [...] wydaje się charakteryzować performatywy [...] podobnie do sposobu, w jaki określono w odniesieniu do przypuszczalnych konstatacji”⁴⁸.

Fakt odnoszenia się teraz do konstatacji jako „przypuszczalnych” uświadamia nam wagę tego, co się dzieje; to nie tylko pojęcia się zamazują, lecz cała hierarchia zaczyna być demontowana. Oznacza to, że łączenie performatywów i konstatacji ostatecznie odbywa się z korzyścią dla performatywów, które w tradycyjnym modelu były klasą pośledniejszą i drugorzędną, ponieważ zależały od okoliczności, a nie od sądów co do prawdy i fałszu, lecz teraz sądy o prawdzie i fałszu zostały ukazane jako podlegające okolicznościom w takim samym stopniu jak sądy o stosowności (które same zostały ukazane jako nierozłączne z pytaniami o „fakt”), z takim skutkiem, że konstatacje nie mogą już być definiowane jako posiadające przezroczystą relację z faktami. W rzeczy samej, pojęcie „faktu” zostało zdestabilizowane przez dokładnie ten sam proces, ponieważ, skoro fakty ustanawiane są za pomocą prawdziwych/fałszywych sądów (czy tak się sprawy mają, czy nie), to uzależnianie tych sądów od okoliczności jest także uzależnieniem faktów od okoliczności; oznacza to, że pytanie o to czy coś jest, czy nie jest faktem uzyska odmienną odpowiedź w różnych okolicznościach.

Austin czyni to otwarcie w ostatnim rozdziale, gdy oznajmia, że „prawda i fałsz nie są [...] nazwami relacji, jakości, a jedynie jakimś wymiarem oceny”⁴⁹. Przez „wymiar oceny” ma on na myśli „jakiś ogólny wymiar bycia czymś poprawnym bądź właściwym do powiedzenia w przeciwieństwie do czegoś niewłaściwego w takich okolicznościach, dla takich a takich odbiorców, dla takich a takich celów i z takimi a takimi intencjami”⁵⁰. Jego przykład – „Francja jest szczęśliwa” – z pewnością jest konstatacją, jeśli w ogóle cokolwiek nią jest⁵¹. Prawda to czy fałsz? – pyta. Cóż, być może przy pewnych intencjach i dla pewnych celów to mogłaby być prawda, gdyby zostało to wypowiedziane w wojskowym wymiarze oceny przez jakiegoś generała; lecz równie dobrze mogłoby to być fał-

47. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 54, 67.

48. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 91.

49. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 148.

50. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 144.

51. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 142.

szywe w przypadku wypowiedzenia tego w innym wymiarze oceny, na zjeździe geografów. Nie chodzi tylko o to, że zmieniają się pojęcia, w obrębie których wygłaszany jest sąd; przedmiot faktu (*the object of fact*), w stosunku do którego wydaje się sąd, także się zmienia. W jednym wymiarze, Francja jest wyobrażana jako cel wojskowy, w drugim jako kształt, który musi zostać zredukowany do skali sporządzającego mapę. Kusi, by rzec, że u podstaw tych różnych perspektyw znajduje się jeden faktyczny byt, „rzeczywista” Francja, lecz to określenie może jedynie oznaczać Francję wyobrażoną całkowicie poza jakimkolwiek wymiarem oceny, a to jest dokładnie to czego nie sposób uczynić. O Francji można jedynie pomyśleć czy nawet Francję można jedynie pomyśleć w obrębie jakiegoś wymiaru oceny, tak więc zawsze będzie się o niej myślało jako posiadającej czy nie posiadającej kształt tego rodzaju, jaki jest odpowiedni do tego wymiaru. Francja, o której mówimy zawsze będzie wytworem takiego typu mówienia (wojskowego, geograficznego, kulinarnego, ekonomicznego, literackiego), w jaki się angażujemy, i nigdy nie będzie nam dostępna w ogóle poza jakimkolwiek rodzajem mówienia, gdzie mogłaby funkcjonować jako obiektywny punkt weryfikacji.

Austin stawia sprawę nawet jaśniej w następnym przykładzie. „Lord Reglan wygrał bitwę o Almę”. Prawda czy fałsz? Cóż, zależy to, między innymi, czy pojawia się to w podręczniku szkolnym czy w pracy będącej rezultatem badań historycznych. W podręczniku mogłoby to zostać zaakceptowane jako prawdziwe z powodu działania założeń co do tego, czym jest bitwa, co składa się na zwycięstwo, relacji między wodzem a sukcesem lub porażką i tak dalej; w pracy będącej rezultatem badań historycznych wszystkie te założenia mogły zostać zastąpione przez inne z takim skutkiem, że pojęcia „bitwy” i „wygranej” uzyskały odmienny kształt. Błędem byłoby sądzić, że „bitwa o Almę” była czy kiedykolwiek mogła być jakimś faktem wolnym od interpretacji. Podobnie jak Francja, jest ona wytworem kontekstu interpretacyjnego – wymiaru oceny – w obrębie którego została wyobrażona.

Takie stanowiska wobec Francji i bitwy o Almę komplikują przykłady, jakie Austin podał wcześniej, by zilustrować swoje pierwotne rozróżnienie. W rozdziale 4 podał wypowiedź „On biegnie” jako modelową konstatację, ponieważ jej prawdziwość może zostać łatwo określona przez sprawdzenie jej w stosunku do „faktu, że biegnie”⁵². Lecz kiedy już raz zdamy sobie sprawę z tego, że fakty są jedynie faktami w obrębie jakiegoś wymiaru oceny, to relacja przezroczystości (*the relation of transparency*) pomiędzy konstatacją i stanem rzeczy, który ona „relacjonuje” jest natychmiast wystawiona na szwank. Wystarczy tylko wyobrazić sobie kogoś mówiącego „Ty to nazywasz biegiem, toż to za ledwie trucht”, aby zobaczyć, że pasowanie do siebie opisu i faktu będzie jedynie oczy-

52. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 47.

wiste dla tych, dla których wypowiedzi w języku opisowym korespondują z ich przekonaniem (*beliefs*) na temat tego, co jest w świecie. Jeśli dwóch mówiących pojmuje odmiennie różnicę pomiędzy biegiem i truchtem (lub jeśli ktoś wcale tego nie rozróżnia), to nie będą się oni zgadzać co do trafności [słów] „on biegnie”, ponieważ każdy z nich będzie sprawdzał wypowiedź w stosunku do odmiennego zbioru określonych przez „wymiar oceny” faktów (*a different set of „dimension-of-assessment” specific facts*). Oczywiście, zawsze jest możliwe, że ktoś trzeci przyłączy się do dyskusji i z jakimś samozadowoleniem rzeknie „Obaj spieracie się o semantykę; chcielibyście [mieć] słownik nie zanurzony w żadnej perspektywie. Gdybyście mieli opisać to zachowanie używając pojęć siły, stosunku drogi do szybkości, oporu, kątów, prędkości i tym podobnych, to uzyskalibyście jego neutralną teorię i wtedy dopiero moglibyście się spierać o to, czy nazwać to biegiem, czy truchtem”. Nie ma powodu, aby wątpić, że jako strategia byłoby to skuteczne, ponieważ zawsze można uciec się do słownika na wyższym poziomie ogólności (wyższym poziomie podzielanych założeń) niż poziom, na którym toczy się spór. Lecz podczas gdy słownik może rosnąć w górę i wchłaniać różniące się perspektywy dyskutujących, to sam będzie wychodził z, i odnosił się do faktów tej czy innej perspektywy, a zatem podejście, które wytwarza, choć perswazyjne i przekonujące dla wszystkich zainteresowanych, nie będzie posiadało żadnej epistemologicznej nadrzędności wobec podejść, poza które wykracza. Mówienie o kątach, stosunkach i prędkościach może być bardziej prestiżowe w grze o „trafny” opis niż mówienie o biegu i truchcie, lecz wciąż jest to mówienie umożliwiające w swej inteligibility przez jakiś wymiar oceny; i dlatego też odpowiedniość, którą uzyskuje takie mówienie będzie relatywna wobec faktów takich, jakimi one są w obrębie tego wymiaru.

W tej analizie wciąż istnieje jeszcze dziedzina przeznaczona dla konstatacji: lecz nie da się już jej pojmować jako zawierającej uprzywilejowaną relację z rzeczywistością. Podczas gdy w rozdziałach otwierających *How to Do Things with Words* konstatacje odpowiadają przed światem „takim jaki on jest”, to w rozdziale 11 konstatacje odpowiadają przed światem takim, jakim jest on dany w obrębie wymiaru oceny. Zamiast zajmowania centralnego miejsca, w relacji do którego inne użycia języka są pochodne i pasożytnicze, konstatacje są raczej takie jak wszystkie inne akty mowy w tym, że warunek ich możliwości (warunek działania zawsze w obrębie jakiegoś wymiaru oceny czy wspólnoty interpretacyjnej) na zawsze odsuwa je od jakiegokolwiek kontaktu z niezapśredniczoną obecnością. Na mocy więc argumentu samego Austina, wykluczenie wypowiedzi scenicznych oraz innych wypowiedzi osłabionych jako dewiacji wobec zwyczajnych okoliczności przestaje obowiązywać, ponieważ z chwilą, gdy absolutne (w przeciwieństwie do konwencjonalnego) rozróżnienie między konstatacjami i performatywami nie może już być utrzymane, zwyczajne okoliczności – okoliczności, w których

przedmioty, zdarzenia i intencje są bezpośrednio osiągalne – ukazane zostają jako jakiś niemożliwy ideał.

Wydaje się zatem, iż Derrida ma rację odnajdując w samym sercu przedsięwzięcia Austina sprzeczność między rozpoznaniem przez niego ryzyka, czy [możliwości] niefortunności, właściwym wszystkim aktom mowy, a jego usiłowaniem kontrolowania tego ryzyka przez wykluczenie z rozważań jednej klasy aktów mowy, ponieważ są one zainfekowane owym ryzykiem. Derrida uznaje te strategie za „osobliwą”, ale sam kieruje nas ku bardziej wielkodusznemu czytaniu tekstu Austina, gdy określa go jako „cierpliwy, otwarty, aporetyczny, nieustannie się zmieniający, często bardziej owocny w rozpoznawaniu swych trudności niż osiągnięć”⁵³. Wydaje mi się to w pełni słuszne; jedyne, co pozostaje stałe w *How to Do Things with Words* to to, że nic nie jest stałe: żaden termin, żadna definicja, ani żadne rozróżnienie nie jest w stanie przetrwać dłużej niż biegnie argument, wiele z nich nie jest w stanie przetrwać akapitu czy zdania, w których pojawiają się po raz pierwszy. Obalenie rozróżnienia, od którego książka się zaczyna, jest oczywiście najbardziej dramatycznym przykładem tego działania, lecz książka obfituje i w przykłady pomniejsze, które są takie same w tym, że jednocześnie posuwają naprzód i cofają argumentację. Całkiem wcześniej Austin przedstawia nam zapatrywanie na swoją „metodę”, kiedy zauważa na temat tendencji w filozofii, by zaczynać od pogorszenia sprawy i radośnie powiada „Musimy najpierw nauczyć się biegać zanim zaczniemy chodzić”⁵⁴. Przez odwrócenie tradycyjnego przysłowia Austin powiadamia nas z góry, że postęp w tej książce będzie kwestią podawania definicji (*declaring definitions*), które następnie trzeba odwołać, zaś posuwanie się naprzód będzie oznaczało posuwanie się wolniej, a być może nie posuwanie się w ogóle, jeśli wyobrażamy sobie nasz cel jako osiągnięcie niewątpliwej ścisłości i jasności. Coś dającego poczucie tego doświadczenia jest wyrażone w niezwykłym ciągu zdań na początku drugiego rozdziału: „Jak dotąd zaledwie odczuliśmy, jak twardy grunt uprzedzeń wyslizguje się nam spod stóp. Lecz jak teraz – jako filozofowie – mamy postępować? Jedną z rzeczy, którą moglibyśmy zacząć czynić jest wycofanie tego wszystkiego, drugą byłoby grzęźnięcie w logicznie następujących po sobie etapach. Lecz na to wszystko potrzeba czasu”⁵⁵. Pierwsze zdanie sprawia, iż czujemy się nieswojo zarówno wobec przeszłości, z której zdaje ono sprawę, jak i wobec przyszłości, którą obiecuje. Nikt nie chce czuć się przywiązany do uprzedzeń, lecz jeszcze mniej mamy ochoty, by myśleć, że możemy w ogóle nie być zakotwiczeni (*grounded*). Ten Hobsonowski wybór natychmiast odtwarza się w dwóch alternatywnych

53. Jacques Derrida, *Signature Event Context*, s. 187.

54. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 12.

55. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 13.

kierunkach działania – cofanie wszystkiego albo grzęźnięcie w logicznie następujących po sobie etapach. Więc kiedy Austin mówi „Lecz na to wszystko potrzeba czasu”, to wcale nie jest jasne, czym „to wszystko” jest bądź czy, na tegoż końcu, znów będziemy mieć jakiś grunt pod stopami.

Kiedy już Austin raz zacznie (jeśli to właściwe słowo), to później regularnie naśladuje Boga, najpierw dając, a potem odbierając. Dalej, w rozdziale 3, rozróżnia niepowodzenia w komunikacji, które biorą się z „wadliwych procedur” oraz niepowodzenia, które pojawiają się, gdy procedury były poprawne, lecz niewłaściwie powołane do życia. Pierwsze nazywa „niewypałamii”, drugie „nadużyciami”, a następnie, o pół sekundy za późno, upomina czytelnika: „Nie kładźmy nacisku na normalne konotacje tych nazw”⁵⁶. Rezultat tego jest złożony: nazwy zostały publicznie wypowiedziane, a rozróżnienie jest w mocy, lecz jednocześnie nazwy zostały zamglone, a rozróżnienia, jak to Austin prawie natychmiast powiada, „nie są niepodważalne i trwałe”. Oczywiście, nie oczekuje się niepodważalnych i trwałych rozróżnień od autora, który przestrzega, że wszystkie nowe klucze, które wręcza będą również ślizgawką pod nogami⁵⁷. Gdyby chciał określić ten rodzaj pisarstwa, to można by znakomicie nazwać to mianem „pod gumką”, to znaczy pisarstwem, które jednocześnie używa jakiegoś słownika i zbioru koncepcji i je kwestionuje. Rzecz jasna, pisanie „pod gumką” jest określeniem, które wiąże się z Derridą (a ten zapożycza je od Heideggera); przywołując je delikatnie zbliżam się do tezy, która na pierwszy rzut oka może wydawać się wbrew intuicji, [tezy], że kiedy wszystko już zostaje powiedziane i zrobione, Derrida i Austin są bardzo do siebie podobni. Są podobni w pisaniu prozy, która komplikuje swoje wyjściowe stwierdzenia (*assertions*) i zaciemnia przeciwstawienia, na których przypuszczalnie się obraca; są także podobni w użyciu, dla którego proza ta jest przeznaczona, jednoczesne oferowanie i wycofywanie testów procedur, aby określić siłę i znaczenie wypowiedzi.

Zawsze rozpoznawano to w przypadku Derridy, częściowo z powodu nieustającej trudności jego prozy; nawet w jej warstwie powierzchniowej rzuca się w oczy stopień, w jakim ten dyskurs zainteresowany jest (wręcz obsesyjnie) swoim statusem. Jednakże w przypadku Austina, możliwe było przymykanie oczu na jego styl, albo dlatego, że uznano go za nieistotny dla treści jego filozofii, albo dlatego, że został uznany za pewną manierę typową dla profesora Oxfordu. Lecz w rzeczywistości nie jest to w ogóle maniera, ale świadomie zastosowana strategia, której zamiarem jest wywołanie między innymi zniecierpliwienia i irytacji. W pewnym miejscu mówi bardzo dużo na ten temat. „Wielu z was zniecierpliwi to podejście – do pewnego stopnia całkiem słusznie. Powiecie,

56. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 16.

57. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 25.

»Dlaczego nie wyciąć całej gadaniny? [...] Dlaczego w prosty sposób nie przejść do dyskusowania sprawy od razu, korzystając z pojęć językoznawstwa i psychologii? Po co tak kręcić?»⁵⁸. Dyskusowanie sprawy korzystające z pojęć językoznawstwa równałoby się wytwarzaniu kryteriów, według których performatywy mogłyby zostać odgraniczone od konstatacji, a akty illokucyjne odróżnione od perlokucyjnych; dyskusowanie natomiast sprawy używające pojęć psychologii oznaczałoby skorelowanie stanów wewnętrznych z jakąś listą czasowników. W swojej książce, Austin nie raz próbuje właśnie to czynić, ale w każdym przypadku formuły, które rozważa okazują się nieużyteczne (*unworkable*). Tutaj, na stronie 122, zwrot do czytelnika następuje po długiej na rozdział dyskusji nad „mówiąc” i „poprzez powiedzenie”⁵⁹, jako możliwych sposobach rozpoznawania różnych rodzajów aktów mowy. Teraz pyta, „Czy te formuły dostarczą nam sprawdzianu pozwalającego odróżnić illokucje od aktów perlokucyjnych?” Znaczy to, czy będą one robiły to, co przez cały czas zakładaliśmy, że one mogą robić? Odpowiedź jest krótka i miążdżąca: „Nie będą”. Czasami wydaje się, że jedyny cel książki polega na obmyśleniu sprawdzianów, które nie zadziałają. W rozdziale 5 oferuje się i odrzuca spadek po „absolutnym” kryterium rozpoznawania performatywów: pierwsza osoba liczby pojedynczej, tryb oznajmujący czasu teraźniejszego, czas i nastrój – wszystkie one zostają poddane ocenie i o każdym z nich Austin ostatecznie powiada, że to „nie zadziała”. Jesteśmy, przyznaje, w „impasie w przypadku każdego pojedynczego, prostego kryterium gramatycznego czy słownikowego”⁶⁰; lecz być może, snuje domysły, nie będzie niemożliwe „stworzenie jakiegoś złożonego kryterium” lub „przynajmniej zbioru kryteriów”. Być może, na przykład „jednym z takich kryteriów mogłoby być to, że performatywem jest wszystko, co posiada czasownik w trybie rozkazującym”. Lecz propozycja ta natychmiast została zagrożona nieskończonym regresem: „To jednakże prowadzi do wielu kłopotów [...] kiedy czasownik jest w trybie rozkazującym, a kiedy nie, w które nie zamierzam się pakować”⁶¹. Przypuszczalnie, gdyby w nie wszedł, to napotykałby te same trudności, jakie napotyka tutaj: sprawdzian czy czasownik jest czy nie jest w trybie rozkazującym okazałby się nie mniej narażony na wyjątki i kontrprzykłady niż sprawdziany, które już zawiodły.

W czasie, gdy jego argumentacja się rozwija (to niewłaściwe słowo), Austin kontynuuje realizację swojej podwójnej strategii: poszukuje kryterium, o którym

58. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 122.

59. Pozostawiam tutaj taką formę tłumaczenia, jaką zaproponował Bohdan Chwedeńczuk (por. rozdz. X polskiego wydania książki Austina), ponieważ obawiam się, iż jakiegokolwiek zmiany tutaj mogłyby wywołać niepotrzebne zamieszanie w przypadku czytelników, którzy znają jedynie polskie tłumaczenie pracy Austina (przytłumacza).

60. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 59.

61. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 59–60.

można by powiedzieć: „winno się go używać jedynie w okolicznościach, które jasno i niedwuznacznie pokazują, że zostało ono użyte”, lecz poszukiwanie dostarcza jedynie i wciąż dowodu, że takie kryterium jest nieosiągalne, ponieważ, jak natychmiast oznajmia, wspiera się ono na „zaleceniu doskonałości”⁶². Zalecenie to wymusza posuwanie się naprzód i ciągnie nas dalej przy pomocy swojej obietnicy – obietnicy czystego performatywu, mechanicznej procedury odróżniania jednego rodzaju aktu mowy od innego, przezroczystego miejsca – ale obietnica nigdy się nie spełnia, gdyż Austin tasuje swoje przykłady tak długo, aż rozróżnienia, które mają ilustrować zostają zatarte, czy wręcz odwrócone. Ten wzór działania jest szczególnie jasny w rozbudowanej dyskusji, ciągnącej się przez kilka rozdziałów, dotyczącej tak zwanego wyraźnego performatywu. Wyraźny performatyw to czasownik, który służy „do szczególnego celu czynienia wyraźnym [...] tego, co to za działanie właśnie wykonano przez wygłoszenie wypowiedzi”⁶³. Innymi słowy, illokucyjna moc jest nazwana w samej wypowiedzi przez czasownik performatywny, jak w „Obiecuję zapłacić ci pięć dolarów” lub „Rozkazuję ci opuścić pokój”. Pozycja zajmowana w teorii przez wyraźny performatyw jest więc czymś swojskim w filozofii: oznacza ona centralny czy paradygmatyczny przypadek, w stosunku do którego inne, bardziej wątpliwe przypadki, mają być oceniane i rozumiane. Wyraźny performatyw, krótko mówiąc, skupia (*centre*) czy zakotwicza system, który na swych najodleglejszych brzegach odznacza się niepewnością. Obecność wyraźnego performatywu udziela jasnej wskazówki na temat intencji, z jakimi wypowiedź jest wygłoszona, podczas gdy w przypadku jego nieobecności, sposób w jaki można wypowiedź odebrać pozostaje „otwarty”⁶⁴.

Jednakże, prawie natychmiast Austin komplikuje ten obraz przedstawiając przykład, w którym sama obecność wyraźnego performatywu ani w sobie, ani z siebie nie determinuje mocy wypowiedzi. „Przypuśćmy, że mówię »Obiecuję wysłać cię do żeńskiego klasztoru« – kiedy uważam, choć ty się z tym nie zgadzasz, że będzie to dla twego dobra, albo znowu ty tak uważasz, ale ja nie, czy nawet oboje tak uważamy, ale w rzeczywistości, jak się może okazać na końcu, wcale tak nie jest?”⁶⁵. Czy obiecałem? Czy też „przywołałem jakąś nieistniejącą konwencję w niewłaściwych okolicznościach”? Austin sam nie odpowiada na swoje pytania, lecz jedynie wskazuje, że „może nie istnieć zadowalający wybór pomiędzy tymi alternatywami, które są zbyt mało subtelne, by pasować do subtelnych

62. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 34.

63. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 61.

64. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 33.

65. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 37–38.

przypadków”⁶⁶. Nie istnieje „droga na skróty”, [nie istnieje] żadna mechaniczna procedura podejmowania tych decyzji; zamiast tego trzeba wyłożyć „pełną złożoność sytuacji, która nie w pełni pasuje do jakiegokolwiek zwykłej klasyfikacji”⁶⁷. Ale ten przykład i inne sugerują, że wszystkie przypadki mogą okazać się podobnie subtelne i że nigdy nie napotkamy sytuacji, która pasowałaby do gotowej klasyfikacji – sytuacji, w której moc illokucyjna jest idealnie wyraźna.

Kiedykolwiek wyraźny performatyw ponownie się pojawia, zawsze dzieje się to w kontekście podobnym do tego, kontekście, który odbiera komfort interpretacyjny, który obiecuje zapewnić. W rozdziale 6, Austin oferuje spekulatywną genealogię, w której wyraźny performatyw i „czyste” stwierdzenie (*statement*) wylaniają się nie przed, lecz po „pewnych bardziej podstawowych wypowiedziach, z których wiele to już ukryte (*implicit*) performatywy”⁶⁸. W tym podejściu raczej ogólnikowość i nieokreśloność niż wychodzenie od bardziej podstawowych warunków precyzji są w rzeczywistości pierwotne i jesteśmy bardzo blisko stwierdzenia Derridy, że „jakość ryzyka” jest przynależna (*internal*) samej strukturze języka, a nie czemuś, co infekuje jedynie peryferyjne i nienormatywne przypadki. W tym samym rozdziale, silne opowiadanie się za wyraźnym performatywnym pojawia się raz jeszcze, gdy Austin mówi, że „wyraźny performatyw wyklucza dwuznaczność i czyni działanie ustalonym”, lecz następnie osłabia twierdzenie prawie do zera dodając do zdania jedno słowo, „relatywnie”⁶⁹. Już na następnej stronie, wyraźnie oznajmia, co jego przykłady przez cały czas implikowały: „Istnienie, a nawet użycie wyraźnych performatywów nie usuwa wszystkich naszych kłopotów”⁷⁰. Przez kłopoty Austin rozumie „niepewność pewnego odbioru”, a powodem tego, że wyraźny performatyw nie usuwa tej niepewności jest to, że sam [wyraźny performatyw] jest niepewny (*uncertain*) – to znaczy, jest kwestią interpretacji – tego, czy dana lokucja jest czy nie jest w rzeczywistości wyraźna (*explicit*) w wymagany sposób. Zamiast rozwiązania interpretacyjnego sporu, przywoływanie wyraźnego performatywu raczej dokłada jedynie do sporu kolejny element. Ostateczny sąd na temat wyraźnych performatywów, który zostaje wydany w rozdziale 9, czyni to pojęcie niezdolnym do spełniania funkcji, dla której realizacji został powołany: „Odkryliśmy [...], że często niełatwo jest być pewnym, nawet jeśli wyraźna forma jest oczywista, że wypowiedź jest performatywnym lub że nie jest”⁷¹. „Oczywista” jest tu kluczowym (*master*) słowem, umożliwia ono całą siłę krytyki, którą później przeprowadzi Derrida w odniesieniu do tej samej

66. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 38.

67. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 38.

68. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 71.

69. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 76.

70. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 77.

71. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 91.

książki. „Czas już”, oznajmia Austin w następnym zdaniu, „by podjąć problem od nowa”. Oczywiście, podejmowanie teraz problemu na nowo oznacza, że sam problem został przeformułowany w sposób tak radykalny, że nawet jego zarysy nie wyglądają tak, jak wyglądały wtedy, gdy został pierwotnie postawiony.

„Trudno jest”, mówi Austin na końcu rozdziału 9, „orzec, gdzie zaczynają się i kończą konwencje”⁷². Czasami w książce wydaje się, że jest to trudność, którą po tym jak się raz ją rozpozna, można przewyciężyć, ale faktycznie trudność ta, ze wszystkimi jej implikacjami możliwości pewnych projektów formalnych, ostatecznie triumfuje w *How to Do Things with Words*. Retoryka na stronach otwierających książkę sugeruje skromną propozycję: pewien typ wypowiedzi, którym się nie wystarczająco zajmowano, zagrożony tym, że w ogóle umknie jakiemukolwiek poważniejszemu zainteresowaniu, miał zostać włączony w koło określone przez tradycyjną filozofię wokół języka; ale kiedy tylko to się stało, próba zbudowania jakiegoś podejścia teoretycznego tego typu zaczęła najpierw podminowywać założenia, które pozwalały określić to koło, aby w końcu doprowadzi to rewolucji tak elegancko odnotowanej przez Searle’a: szczególne przypadki połykają uogólnienie (*the general case*)⁷³. Ważne jest, aby zauważyć, iż nie jest to jedynie pewne odwrócenie, w którym dwa terminy zmieniają miejsca wewnątrz systemu, którego strukturalna forma pozostaje ta sama. Rewizja, którą w rezultacie powoduje ten dyskurs jest znacznie bardziej całościowa; poddaje on w wątpliwość i rozbija obraz rzeczy, które kiedyś nadały kształt terminom i czynią pojmowalnym projekt formalnego ich odniesienia. Ów projekt (otrzymania rzeczy wprost „od razu”) nadaje książce jej pozorną strukturę, lecz jej prawdziwą strukturą jest jej stopniowy rozpad, kiedy to rozróżnienia, od których się rozpoczyna zamazują się i ostatecznie załamują. To właśnie ta podwójna struktura odpowiada za fakt, że książka spowodowała powstanie dwóch wersji teorii aktów mowy, jednej zorientowanej na wchłonięcie mocy illokucyjnej przez formalną teorię w stylu Chomsky’ego (reprezentantami tutaj są John Ross, Jerrold Katz i Jerrold Saddock)⁷⁴, a drugiej zorientowanej na uczynienie mocy illokucyjnej funkcją pragmatycznych – to znaczy niemożliwych do sformalizowania – okoliczności (można tutaj przytoczyć pracę H. P. Grice’a i Mary Pratt)⁷⁵. W trzeciej

72. John L. Austin, *How to Do Things with Words*, s. 118.

73. Zob. John Searle, *The Philosophy of Language*, Oxford University Press, Oxford 1971, s. 7.

74. Zob. John Ross, *On Declarative Sentences*, w: *Readings in English Transformational Grammar*, red. Roderick Jacobs i Peter Rosenbaum, Ginn and Company, Waltham 1970; Jerrold Katz, *Propositional Structure and Illocutionary Force*, Harvard University Press, Cambridge 1980; oraz Jerrold Saddock, *Toward a Linguistic Theory of Speech Acts*, Academic Press, New York 1974.

75. Zob. H. P. Grice, *Logic and Conversation* (wykład wygłoszony jako część *William James Lectures*, Harvard University 1967) oraz Mary Pratt, *Toward a Speech Act Theory of Literary Discourse*, Indiana University Press, Bloomington 1977.

wersji, reprezentowanej czasami przez Searle'a oraz ostatnio przez Kenta Bacha i Roberta Harnischa, pojawia się uświadczanie, by pogodzić to, co formalne z tym, co pragmatyczne, lecz to zwykle wymaga przyznania im niezależności, którą pragmatyczne zapatrywanie (*pragmatic view*), jeśli jest brane poważnie, ze swej natury destabilizuje⁷⁶. Dla Austina, to, co formalne i to, co pragmatyczne nie są ani alternatywami, z których którąś trzeba wybrać, ani prostym przeciwstawieniem, które trzeba pogodzić, lecz składnikami dialektyki, która rozpracowuje siebie samą w jego argumentacji, posuwaniem się w tył i w przód pomiędzy orientacją na zrozumiałość i zdawaniem sobie sprawy z tego, że zrozumiałość, choć zawsze możliwa, nie może zostać zredukowana do działania formalnego mechanizmu. Oto dlaczego odczytanie Austina przez Derridę jest ostatecznie nie krytyką, lecz wyrazem uznania dla radykalnej prowizoryczności tekstu, który zbyt często bywał oswajany (*domesticated*); odczytanie to jest wierniejsze niż wiele z tych, które oferowali uczniowie mistrza. W rzeczy samej, gdyby tylko Derrida o tym pomyślał, to mógłby spokojnie zadedykować Austinowi *Signature Event Context*; przyjemnie jest sobie pomyśleć, że w jakimś niebie dla filozofów będzie mógł mu to przedstawić Z USZANOWANIEM OD AUTORA.

[przełożył Krzysztof Abriszewski;
przekład przejrzał Andrzej Szahaj]

76. Zob. Kent Bach i Robert M. Harnisch, *Linguistic Communication and Speech Acts*, MIT Press, Cambridge 1979.